SOBOTA
Nr 38 29 III 1980 Cena 1,50 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

Fot. M Fot. M. Szymański

XI TWO

Finał W Budziszewku

Zaproszenie zapowiadało rozliczne atrakcje. Postanowiliśmy – jedziemy do Budziszewka! Nie żałowaliśmy. Szkoda, że wszystkiego nie widać na zdjęciach. A naprawdę warto było obejrzeć całą szkołę. W tym dniu, jej sale i korytarze zmieniły się w wielką wystawę.

CIĄG DALSZY NA STR. 5

Polacy na szczycie świata (III)

I TA WYŚNIONA WIELKA GÓRA

Hala dworca lotniczego Okęcie w Warszawie wypełniona była tego dnia po brzegi. Wracali zdobywcy Mount Everestu. Grupa studentów Wydziału Geodezji i Kartografii Politechniki Warszawskiej przyszła uściskać swojego asystenta Leszka Cichego. Do Warszawy przyjechała delegacja Fabryki Samochodów Małolitrażowych z Tych, gdzie pracuje Krzysztof Wielicki. Witali bohaterów Himalajów młodzi, początkujący taternicy oraz ci, którzy przed laty torowali wysokogórskie szlaki. Była Wanda Rutkiewicz – pierwsza Polka i pierwsza Europejka, która osiągnęła wierzchołek Mount Everestu. Byli najbliżsi. Ile bezsennych nocy spędzili, czekając na meldunki spod Everestu? Teraz o tym już zapomnieli, szczęśliwi z powrotu mężów, synów, braci...

CIĄG DALSZY NA STR. 3

KRÓL PUSZCZY w lasach pilskich

PIŁA (PAP). W lasach pilskich zamieszka w br. na wolności 8 żubrów, które zostaną tu sprowadzone z Białowieży. Będzie to piąty tego typu ośrodek ich hodowli. Pierwszy powstał w 1952 r. w Puszczy Białowieskiej, drugi w Puszczy Boreckiej, trzeci w Bieszczadach i czwarty w Puszczy Knyszyńskiej na Białostocczyźnie. Łącznie ze znajdującymi się w rezerwatach i ogrodach zoologicznych żyje w Polsce ponad 500 żubrów. Na wolności najwięcej przebywa w Puszczy Białowieskiej, co najmniej 230 sztuk i w Bieszczadach. Te piękne zwierzęta, nazwane królami polskich borów, czują się na wolności bardzo dobrze. **(kż)**

Pierwsze wyniki badań studentów z Koła Naukowego Biologów UW

KUNA KAMIONKA stałym mieszkańcem warszawskich Łazienek

WARSZAWA (Inf. wł.). Badania, prowadzone na terenie miasta przez studentów z KNB UW wykazują, że występuje tu stale szereg gatunków ptaków i ssaków drapieżnych. Ale najliczniejszym dziko żyjącym w Warszawie drapieżnikiem jest kuna domowa, czyli kamionka, zamieszkująca większość parków, m. in. Łazienki. Kilka par gnieździ się np. na poddaszu Starej Pomarańczarni. Kamionka żyje też w Wilanowskim Zespole Pałacowo-Parkowym – podejrzewa się, że miejscem jej gniażdżenia są poddasza budynku Oranżerii.

Przystosowanie się tego drapieżnika do życia w warunkach miejskich jest tematem pracy magisterskiej jednego ze studentów, uczestniczącego w badaniach KNB. Bada on m. in. znaczenie kamionki w biocenozach miejskich oraz skład jej pokarmu – ani w Polsce, ani w Europie, nie prowadzono dotąd badań na ten temat. Inni członkowie KNB badają też ornitofaunę Parku Łazienkowskiego, a szczególnym tematem ornitologicznym jest poznawanie pokarmu żyjących w warunkach miejskich puszczyków.

(tok)

HARCERSKI PATROL REGLE

ZAKOPANE (HSI). Wszyscy noszą pomarańczowe chusty z wyszytymi parzenicami, na prawym ramieniu plakietkę „HARCERSKI PATROL REGLE". W skład patrolu wchodzą członkowie 3 DH działającej w I Szczepie „WILCZNIK" przy SP nr 1 w Zakopanem, bodaj najstarszej drużyny działającej w tym mieście.

Patrol rozpoczął swoją działalność przed sześciu laty. Miejscem ich działania jest droga pod Reglami. Odległa od centrum miasta na tyle, że nie słychać już gwaru i warkotu motorów, stanowi jedną ze spacerowych arterii Zakopanego. Tutaj w ciszy, oddychając czystym powietrzem można spacerować i oglądać uroki przyrody tatrzańskiej. Droga znajduje się w bezpośrednim sąsiedztwie Tatrzańskiego Parku Narodowego, toteż od ludzi przebywających tam wymaga się szczególnego przestrzegania przepisów obowiązujących w TPN. Szkoda, że nie wszyscy stosują się do tych rygorów. Często zdarza się widzieć jak drogą przeciągają tabuny rozkrzyczanych turystów, którzy nie pomni na bliskość Parku hałasują, śmiecą, nieraz niszczą przyrodę.

Harcerskie Patrole po skończonym obchodzie zawsze powracają z koszami pełnymi śmieci i odpadków. Harcerze z patrolu służą zawsze radą i pomocą turystom, a spotkanym ludziom, których zachowanie bywa nieodpowiednie, zwracają uwagę, wręczając przy tym broszurki mówiące o ochronie przyrody.

Harcerze z Hufca Tatrzańskiego dbają o swoje miasto i jego otoczenie. Z inicjatywy komendantki Hufca dh. hm. B. Knapik już trzykrotnie (od 1977 r.) odbyła się akcja „Czysta Gubałówka", wymagająca od harcerzy dużego zdyscyplinowania i wielkiego nakładu pracy. W ubiegłym roku po sprzątnięciu otoczenia górnej stacji kolejki na Gubałówkę i trasy spacerowej, śmieci zostały wywiezione 9 wywrotkami!

Od 1978 r. również „Przekrój" organizuje akcję „Czyste Góry". Młodzież Zakopanego na czele z harcerzami gromadnie wyruszała na górskie szlaki, dając tym samym dowód wielkiego zaangażowania w sprawę ochrony środowiska.

Wart odnotowania jest fakt, że na 2900 uczestników zeszłorocznej akcji „Czyste Góry" aż 2300 stanowili harcerze z Hufca Tatrzańskiego.

Wieść o odbytej akcji „Czyste Góry" dotarła m. in. aż do dalekiej Kanady, skąd władze Zakopanego otrzymały wiadomość, że również w Kanadzie tego typu akcje będą organizowane. **(wm)**

phm Janusz Maczyszyn

Z MYŚLĄ O TYCH, KTÓRZY POTRZEBUJĄ NAJWIĘCEJ POMOCY – NAJSŁABSZYCH I... NAJZDOLNIEJSZYCH

WARSZAWA (inf. wł.). X Plenum Rady Naczelnej ZHP, które odbyło się 10.bm., poświęcone było w całości sprawie rozwoju zainteresowań i uzdolnień oraz uczniowskiemu ruchowi naukowemu. Szczególnie ważne jest – co podkreślił w swym referacie programowym naczelnik ZHP dr Jerzy Wojciechowski – aby jeszcze większą niż dotąd troską otoczyć uczniów najsłabszych, a wokół najzdolniejszych stworzyć sprzyjający im klimat. Bowiem wbrew temu co się niekiedy sądzi, jednostki wyróżniające się poziomem wiedzy nie zawsze są w pełni akceptowane przez społeczeństwa klasowe.

O uczniowskim ruchu naukowym, olimpiadach przedmiotowych czy obozach społeczno-naukowych, o których mówiono wiele na Plenum, pisaliśmy już nieraz i ta tematyka będzie nadal gościć na naszych łamach.

Jak wiele wagi przywiązuje Rada Naczelna ZHP do tych spraw świadczy fakt, iż w jesieni br. zostanie zwołany Harcerski Kongres Naukowy. W czasie jego trwania wszyscy ci, którzy mają już jakiś dorobek w jakichkolwiek formach uczniowskiego ruchu naukowego – będą mieli możność zaprezentować go przed szerszym forum. **(jd)**

Organizacje ochrony przyrody w USA – protestują!

ZNÓW TRWA DOROCZNA RZEŹ MŁODYCH FOK

KANADA (PAP). Kanadyjscy i norwescy „myśliwi" zeszli niedawno na lód i rozpoczęli coroczną rzeź focząt. Wyposażeni są w potężne maczugi i drągi, gdyż uśmiercanie małych fok innymi metodami mogłoby zniszczyć cenne futro tych zwierząt. Szacuje się, iż „dzielni łowcy", upolują 180 tys. fok. Specjalna ekipa filmowa telewizji amerykańskiej kręci na zlecenie fundacji ochrony przyrody z Bostonu film, poświęcony tej masowej rzezi. Będzie on nadany przez stacje telewizyjne w USA w ramach prowadzonej od lat przez tę fundację akcji protestacyjnej na rzecz ratowania tych pięknych i rzadkich zwierząt, coraz bardziej niszczonych dla swego futra i mięsa. **(tok)**

W LICZNYM GRONIE POJAZDÓW NA POWIETRZNEJ PODUSZCE pojawił się motocykl dla leśników, listonoszy i lekarzy

RFN (PAP). Mimo prawie półwiecznej historii wehikuły na powietrznych poduszkach nie znajdowały, jak dotąd, zbyt wielu zastosowań. Zachodnioniemieccy specjaliści skonstruowali taki, który ma szansę przydać się zwłaszcza leśnikom, listonoszom i wiejskim lekarzom. To motocykl, który poza tym, że lata gładko na wysokości 0,4 m nad ziemią, wyglądem bardzo przypomina tradycyjny i tak jak tamten hałasuje. System kanałów, służących do wytwarzania powietrznej poduszki jest w tej maszynie maksymalnie uproszczony, a dla uzyskania lekkości w jej konstrukcji duży jest udział takich materiałów, jak aluminium i włókna szklane. Gdy silnik rozpędzi śmigło, pojazd osiąga prędkość 80 km/godz. **(tok)**

Na razie

BASKONIA i KATALONIA

Od wielu lat, a szczególnie po śmierci dyktatora generała Franco (1975 r.), narastały w niektórych regionach Hiszpanii ruchy separatystyczne. Najsilniej niepokoje te występowały w Kraju Basków, żądającego dla siebie autonomii.

Rodowód Basków nie jest w pełni wyjaśniony. Przypuszcza się, że jest to lud pochodzenia kaukasko-małoazjatyckiego, który przed około 8 tys. lat przybył nad Zatokę Biskajską (zachodnia część Pirenejów we Francji i leżące po drugiej stronie gór trzy prowincje hiszpańskie: Guipuzcoa, Vizcaya i Alava). Do XIX wieku Baskowie mieli dość dużą samodzielność, ograniczoną dopiero w 1876 r. Dopiero w okresie republiki Baskonia otrzymała autonomię, ale na krótko. Upadek republiki w 1939 roku i zwycięstwo gen. Franco na 40 lat pogrzebało nadzieję na samodzielność. Rdzenni Baskowie stanowią tylko 2,7 proc. ludności Hiszpanii, to jest około 700 tys., chociaż cała ludność tego regionu liczy ponad 2 mln. W sąsiedniej Francji żyje ich ok. 100 tys., dalsze 250 tys. Basków rozproszonych jest po świecie. Baskonia hiszpańska zajmuje tylko 1,4 proc. terytorium Hiszpanii, ale wytwarza się tutaj aż 13 proc. dochodu narodowego. Jest to najbardziej uprzemysłowiony region, w którym wydobywa się prawie 60 proc. żelaza i produkuje 50 proc. stali. Tutaj wreszcie koncentruje się większość przemysłu stoczniowego, maszynowego, a także petrochemicznego. Baskijczycy uważają się za wyzyskiwanych przez rząd centralny i stąd tak silny ruch nacjonalistyczny dążący nawet do stworzenia własnego państwa. Do tego Madryt nie może dopuścić. Niemniej Baskijczycy, jako pierwsi uzyskali autonomię. Mają już własny parlament (po marcowych wyborach) i własny rząd prowincjonalny.

Niemal równolegle z Baskonią autonomię otrzymała również Katalonia ze swą stolicą Barceloną. Katalończycy (około 6 mln mieszkańców) doszli do autonomii w sposób łagodny, bez stosowania przemocy zbrojnych oddziałów nacjonalistycznych, jak to miało miejsce w Kraju Basków.

Do walki o autonomię przystąpiła również Andaluzja, jedna z najbiedniejszych prowincji Hiszpanii. W odróżnieniu od Baskonii i Katalonii, które posiadają własny język i kulturę, Andaluzyjczycy mówią po hiszpańsku, czyli po kastylsku i nigdy nie stanowili odrębnej jednostki. Warto też wspomnieć, że do roku 1479 na terytorium dzisiejszej Hiszpanii było kilka samodzielnych państewek (Kastylia, Asturia, Nawarra, Aragonia), które połączyły się w walce o wyzwolenie spod panowania arabskiego. Od tego też czasu, aż po wiek XVIII królestwo Hiszpanii stanowiło jedno z największych potęg w Europie i na świecie. Wracając do Andaluzji, to pierwsze referendum, w którym mieszkańcy tej prowincji mieli się wypowiedzieć za autonomią, nie przyniosło zadowalającego rozstrzygnięcia. Sprawa nie jest jednak zakończona.

Coraz częściej mówi się również o autonomii dla Galicji – prowincji położonej w północno-zachodnim „rogu" Hiszpanii. Ludność Galicji, mówiąca językiem niewiele różniącym się od portugalskiego, uważa, że bez autonomii nie rozwiąże swych trudności gospodarczych i kulturalnych. Gdyby więc doszło w przyszłości do przyznania autonomii również tym dwum ostatnim prowincjom, Hiszpania stałaby się faktycznie państwem federalnym. Do tego stara się jednak nie dopuścić rząd centralny premiera Suareza. (b)

AEROFŁOT dociera wszędzie

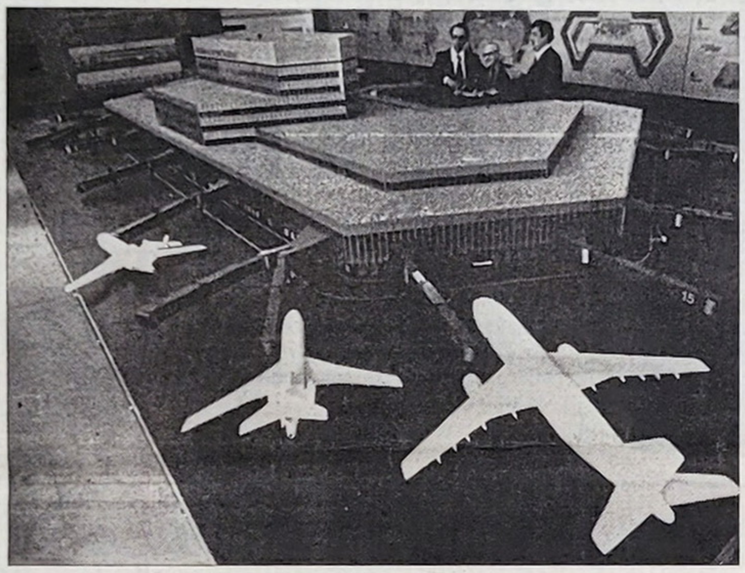

Makieta nowego portu lotniczego w Moskwie Szeremietiewo – II

MIĘDZY NIEBEM A ZIEMIĄ

Dwie są chwile emocji w czasie podróżowania samolotem: start i lądowanie. Kiedy za okrągłym okienkiem jeszcze coś widać i już coś widać. Wtedy to pasażerowie przypięci pasami do foteli i żujący cukierki, które powodują przełykanie śliny dzięki czemu wyrównuje się ciśnienie i znika niemiły szum w uszach, wspominają wszystko co czytali i słyszeli o lotniczych katastrofach i myślą: „uda się czy nie?"

Między tymi dwoma momentami jest nuda, zwyczajna nuda. Samolot pędzi z szybkością prawie tysiąca kilometrów na godzinę, co zresztą jest zupełnie nieodczuwalne, bo leci się osiem i więcej kilometrów nad ziemią, hen nad chmurami. Tylko przy wyjątkowo pięknej pogodzie można dostrzec ziemię, ale i wtedy wydaje się, że samolot pełznie, a nie leci. Ludzie czytają gazety, śpią, toczą leniwe rozmowy. Chwilowe ożywienia wprowadzają tylko stewardesy rozwożące napoje, czy posiłki. Trochę to inaczej wygląda, gdy lecimy samolotem na którejś z linii krajowych w Związku Radzieckim. Pasażerowie zachowują się w samolocie tak swobodnie jak my w pociągu, a w pociągu prawie tak jak my w domu. Bo tu samolotem podróżuje się z przesiadkami i dwie, trzy doby, a pociągiem, bywa że i tydzień. Zdarzało mi się latać na wielu liniach krajowych **Aeroflotu** – radzieckiego odpowiednika naszego **Lot-u**, i nigdy się nie nudziłem. Po prostu ludzie są tu bardziej bezpośredni, łatwiej nawiązują kontakty i wszystko ich ciekawi.

Port lotniczy w Erewaniu, stolicy Armenii, odlot samolotu do Moskwy. Kobiety w futrach, mężczyźni w kożuchach, wszyscy zgrzani, spoceni. W Erewaniu ciepło – plus 20 stopni, w Moskwie – mróz i śnieg. Wielu pasażerów z dużymi bagażami; ktoś dźwiga dwa kosze winogron, inny potężnych rozmiarów gąsior wina. W samolocie rozbrzmiewa język ormiański, pasażerowie zachowują się tak, jakby wszyscy znali się od dziecka. Start unieruchomił ich tylko na chwilę, a cukierki tyko trochę uciszyły. Później było bardzo wesoło, ruchliwie i rozmownie. Żebym jeszcze choć trochę rozumiał ten język, wtedy i wiedziałbym z czego tak często wszyscy się śmieją. Raz zrozumiałem... Nad Kaukazem samolot wpadł w dziurę (turbulencja), po chwili z korytarzyka przy WC wyszedł otyły Ormianin z potężną brodą, z której wystawał prawdziwie ormiański nos o wymiarach godnych podziwu. Właściciel tego reprezentacyjnego organu powonienia sprawiał wrażenie człowieka doprowadzonego do granicy wytrzymałości nerwowej, a może nawet jeszcze dalej. Ryknął chrapliwym głosem jakieś pytanie. Odpowiedział na nie mały, czarniawy człowieczek. Okazało się, że brodacz wpadł do kosza z winogronami. Właściciel winogron bardzo spoważniał ale tylko do momentu, gdy grubas odwrócił się do niego tyłem. Winogrona były z tych ciemnych... Po chwili śmiali się wszyscy, nie wyłączając obydwu poszkodowanych. I tak nie wiadomo kiedy, znów trzeba było zapiąć pasy, pod skrzydłami samolotu pojawiły się pierwsze domy Moskwy.

Moskwa jest największym lotniczym portem świata, a każde z jej lotnisk ma zupełnie inną atmosferę. Oto Szeremietiewo – główny port obsługujący zagraniczne linie AEROFŁOTU i obce linie lotnicze, w tym LOT. Komfort, nowoczesność, pasażerowie z całego świata. Ale największym portem w całym Związku Radzieckim jest Domodiedowo – stąd startują i tu lądują samoloty „TU-144", rozwijające prędkość podróżną dwukrotnie większą od szybkości dźwięku. Stąd lata się do Hawany, Tokio i Dżakarty, a także do wschodnich rejonów ZSRR. Port Wnukowo, a właściwie dwa: Wnukowo I – kierunki południowe i zachodnie ZSRR i Wnukowo II – port reprezentacyjny, gdzie lądują samoloty z oficjalnymi delegacjami zagranicznymi. Zawodnicy i goście olimpijscy przybywający do Moskwy nie wylądują na żadnym z tych lotnisk. Dla nich buduje się wspaniały, najnowocześniejszy port lotniczy świata – Szeremietiewo-II. Jego makietę i wnętrze głównej hali, widzimy na zdjęciach.

Ale są w Związku Radzieckim i inne lotniska. Mały drewniany baraczek, biało-czerwony „rękaw" na maszcie wskazujący kierunek wiatru i kawałek łąki czy pole lodowe. Tam gdzie nie ma drogi, gdzie nie dojeżdża pociąg, a miejsc takich jest w tym ogromnym kraju dużo, jednym środkiem komunikacji jest samolot lub śmigłowiec. AEROFŁOT dociera wszędzie i nie ma w tych słowach ani odrobiny przesady. Oto Syberia – kraina większa od całych Stanów Zjednoczonych, obecnie najszybciej zaludniany i urbanizowany region ZSRR. Między Uralem i Pacyfikiem trwa ogromny ruch; powstają nowe fabryki, kopalnie, miasta. Tu nowoczesna technika, cywilizacja przylatuje na skrzydłach. Samoloty i śmigłowce AEROFŁOTU nie tylko przewożą ludzi, ale i dostarczają sprzęt, materiały budowlane, a wielkie śmigłowce transportują całe domy do osiedli budowniczych w tajdze. Zastępują też dźwigi na wielkich budowach, znacznie przyspieszając ich realizację.

AEROFŁOT – to dziś największy lotniczy przewoźnik na świecie. Stałe linie do ponad 70 krajów. Łączna długość tras, na których latają samoloty tego przedsiębiorstwa wynosi 800 tysięcy kilometrów – to jak na Księżyc i z powrotem. Rocznie przewożonych jest ponad 90 milionów pasażerów i prawie 3 miliony ton ładunków. Czwarta część przewozów lotniczych całego świata, przypada na AEROFŁOT. A jak się to wszystko zaczęło? W samym centrum Moskwy, na Prospekcie Leningradzkim, stoją dwa lśniące szkłem i metalem wieżowce, obok niski, długi pawilon. W tym kompleksie mają swe siedziby: Ministerstwo Lotnictwa Cywilnego ZSRR, hotel AEROFŁOTU i Centralny Miejski Dworzec Lotniczy. O miejscu wybudowania tych obiektów nie zdecydował ani przypadek, ani względy urbanistyczne. Niegdyś rozciągało się tu tak zwane Chodyńskie Pole, z którego przed kilkudziesięciu laty wzbiły się w powietrze pierwsze rosyjskie samoloty. Pierwsza linia lotnicza długości około 450 km połączyła w 1923 roku Moskwę z Niżnym Nowgorodem. Przez pierwszy rok działania AEROFŁOTU jego samoloty przewiozły 229 pasażerów. Były one małe, prymitywne, choć jak na owe czasy wcale nie gorsze od zagranicznych konstrukcji.

Dziś samoloty radzieckich „czterech rodzin", TU – Tupolewa, Ił – Iliuszyna, JAK – Jakowlewa i AN – Antonowa, znane są na całym świecie i to nie tylko z lotów pod banderą AEROFŁOTU, ale i wielu innych towarzystw lotniczych. Zdobyły one również wiele złotych medali na światowych wystawach lotniczych. W ostatnim, najnowszym dziecku radzieckich konstruktorów, samolocie Ił-86, zwanym aerobusem, ma też udział polski przemysł lotniczy. Zakłady w Mielcu produkują do tego właśnie samolotu część elementów układu lotniczego, zawieszenie silników, stabilizatory i usterzenie ogona. Ił-86 zabiera na pokład 350 pasażerów, rozwija szybkość 900–950 km/godz i ma zasięg około 4 tysiące kilometrów. Obecnie trwają już próby eksploatacyjne, z których wynika, że spisuje się on doskonale zarówno w warunkach tropikalnych przy temperaturze przekraczającej plus 40 stopni, jak i przy 50-stopniowym mrozie.

Gdy zastanawiałem się nad tym co, czy kto jest dla mnie symbolem AEROFŁOTU, doszedłem do wniosku, że wcale nie samoloty, ani miłe stewardesy, ani też wielkie czy małe porty lotnicze. Symbolem pozostanie dla mnie na zawsze stara, wiejska kobieta spotkana na Placu Czerwonym w Moskwie w czasie zmiany warty przed Mauzoleum Lenina. Stała przyglądając się paradnym krokom żołnierzy, a przy nogach miała koszyk wypleciony z wikliny, do którego przyczepiona była kartka z napisem AEROFŁOT. Gdy zapytałem skąd przyleciała, odpowiedziała: *„Z Iwanowki, kochaneńki, do wnuka przyjechałam."* Okazało się, że z tej Iwanowki do Moskwy jest ponad 4 tysiące kilometrów. I że babcia miała po drodze dwie przesiadki: ze śmigłowca na mały samolot, a później na duży.

JERZY KOWALKOWSKI
Fot. „Kraj Rad" i archiwum

REPORTER Świata Młodych

Kupić książkę w... bibliotece

KSIĄŻKA TO NAJWIERNIEJSZY TWÓJ PRZYJACIEL, NIE WYŚMIEJE, NIE ZDRADZI, A NAUCZY WIELE...

Może nauczy również uczciwości niektórych jej amatorów. Rzecz w tym, że wieść o dobrej, ciekawej książce rozchodzi się błyskawicznie. Jeżeli jeszcze biorą udział w tej reklamie prasa lub telewizja, to jest więcej jak pewne, że w niedługim czasie panie z księgarni, znudzone ciągłymi pytaniami o tę samą pozycję, powieszą dużą kartkę: „NIE MA".

Niektórym wystarczy taka informacja, ale bardziej dociekliwi nadal uparcie wędrują po księgarniach. Cóż, ciekawe książki mają to do siebie, że bardzo szybko znikają z półek i tylko nieliczni szczęśliwcy wychodzą z księgarni troskliwie dzierżąc cenne trofeum. A co pozostaje reszcie wielbicieli? Albo trzeba wśród swoich znajomych poszukać jednego z tych szczęśliwców i w długiej kolejce czekać aż bestseller przeczyta kolega, mama, tata, sąsiad, przyjaciel z ławki, aby wreszcie móc na parę godzin przenieść się w inny świat – albo miło uśmiechać się do pani bibliotekarki. Jednak są tacy, którzy bardzo chcą mieć coś w swojej biblioteczce.

Ostatnio szerzy się proceder „kupowania z biblioteki". Pani bibliotekarka ma „prawo pierwokupu", więc wszystkie interesujące książki można u niej wypożyczyć. Nie wiadomo, kto pierwszy wpadł na ten pomysł, faktem jednak jest, że w tej chwili najprostszym i najtańszym (znacznie tańszym od „perskiego rynku") sposobem zdobywania książek nieosiągalnych na rynku jest wypożyczenie jej z biblioteki i... „zgubienie". Jeśli jest to biblioteka szkolna, to wystarczy przynieść w zamian obojętnie jaką inną książkę o tej samej cenie i po kłopocie. Wymarzoną lekturę już się ma. Co prawda naje się człowiek trochę wstydu, ale czego się nie robi dla dobrej książki!? Równie prosto przedstawia się sprawa w innych bibliotekach. Równowartość ceny, zwiększona o symboliczną dopłatę, jest znacznie niższa niż cena tej samej pozycji „na czarnym rynku".

Oczywiście nikt z tych „zapobiegliwych" spryciarzy nie myśli o tym, że pozbawia wielu innych możliwości przeczytania akurat tej pozycji, na którą już od dawna czekają, z taką samą niecierpliwością jak on wyczekiwał, jeszcze przed kilkoma dniami, narzekając na tych, którzy długo trzymali książkę. Pewnego dnia spotkałam w bibliotece właśnie takiego pechowca, który „bluzgał" straszliwymi wyzwiskami pod adresem tego, kto zgubił poszukiwaną przez niego książkę. Okazało się, że tej, na którą ja „poluję" również nie ma i wtedy on stwierdził z dumą: „Ja ją mam. Dałem do biblioteki parę lektur dla maluchów i załatwione". A więc „dobrze – jak Kali ukraść krowę, źle – gdy Kalemu ukraść krowę". I kto zasługuje na taką ocenę? Ludzie XX wieku, dumni ze swojej kultury, oczytani, „łaknący wiedzy", zachwycający się pięknem literatury. Brrr!

Trzeba stanowczo zaostrzyć kary za zgubienie książki, a może wtedy takie „kupowanie" z biblioteki przestanie być problemem codziennym.

GRAŻYNA

Publikujemy kolejny odcinek wspomnień z wyprawy na Mount Everest. Poprzednie zamieściliśmy w numerach 28 z 6.III.br. i 33 z 18.III.br. W najbliższych dniach wydrukujemy ostatni odcinek, w którym Tomasz Trzciński przedstawi plan wiosennego ataku polskich alpinistów na najwyższy szczyt świata.

Polacy na szczycie świata (III)

I TA WYŚNIONA WIELKA GÓRA

W drodze na Mount Everest „Wielka szczelina" na Wodospadzie Ice Fall

CIĄG DALSZY ZE STR. 1

Są wreszcie alpiniści. Wychudzeni, zmęczeni, ogorzali od wiatru. Krzysztof Wielicki – w sandałach. Podczas ataku szczytowego odmroził nogi, stąd to niecodzienne obuwie. Natychmiast znalazł się w objęciach żony i ojca. „Marzę o ciepłych krajach – mówił. – Oczywiście o tych, gdzie są góry..."

Leszek Cichy poszybował pod sufit, podrzucany w górę przez przyjaciół i swoich studentów. „Tam na Przełęczy mówiłem sobie: „Już nigdy!" Szybko jednak zmieniłem zdanie. Warto było".

Zewsząd zbierał gratulacje Andrzej Zawada, ten, który od kilku lat walczył o to, by wyprawa doszła do skutku, a potem bezbłędnie kierował jej przebiegiem. Dopiął swego. Osiągnął życiowy cel: Everest zimą.

Przyglądam się alpinistom. Skromni, sympatyczni, wyraźnie zażenowani tym powitaniem w kraju.

Mały wzrostem, ale wielki duchem wąsacz, Krzysztof Wielicki; wysoki, postawny Leszek Cichy; nieco starszy od nich, lekko przygarbiony Andrzej Zawada, o twarzy intelektualisty, a nie herosa gór, skrytej za grubymi szkłami.

Często witamy powracających ze świata sportowców. Ale to powitanie było inne w swoim nastroju, bardziej spontaniczne, serdeczniejsze. Ci sportowcy nie tylko osiągnęli wielki sukces. Oni wracali cało z wyprawy, która stanowiła niebezpieczeństwo dla ich życia i zdrowia. Stąd taka radość, stąd łzy...

Szczyt w chmurach

Znamy przebieg wyprawy z telegraficznych meldunków spod Everestu. Uzupełnijmy ją teraz o bezpośrednie wrażenia tych, którzy pokonali „Górę gór".

Krzysztof Wielicki: „Wspinaliśmy się już siedem godzin. Za każdym wzniesieniem wypatrywaliśmy szczytu. Sześć razy przeżyliśmy zawód – to dopiero przedwierzchołek Everestu. Aż wreszcie o 14,30 czasu nepalskiego ujrzałem wymarzony cel. Wyżej tylko chmury. Spod śniegu wystawał triangul, zbudowany przez poprzednich zdobywców. Nie mogło więc być pomyłki. To już wierzchołek świata.

Mgła i chmury przysłaniały widok. Tylko od strony Tybetu majaczyły sąsiednie szczyty. Gdzieś tam w oddali – Lhotse. Nepalska strona zupełnie niewidoczna. Stamtąd wiał zresztą bardzo silny wiatr, oczy natychmiast łzawiły, a śnieg zaklejał szkła gogli. Nie było czasu na oglądanie krajobrazu. Mieliśmy tu sporo do zrobienia..."

Leszek Cichy: „Zdjęliśmy z pleców butle tlenowe. Wyjąłem aparat fotograficzny, który zarejestował niezbite dowody zdobycia szczytu. Sporo czasu zajęło nam uruchomienie radiotelefonu. W normalnych warunkach czynimy to błyskawicznie, ale przy 40 stopniach mrozu, po morderczej wspinaczce, każdy precyzyjniejszy zabieg techniczny jest arcytrudny. Wywołaliśmy bazę: „Gdzie jesteście? – zapytali. „Zgadnijcie" – żartował Krzysiek. Po chwili oznajmiłem: „Jesteśmy na szczycie". Usłyszałem w odbiorniku odgłosy radości kolegów, a po chwili – gratulacje.

Podszedłem do triangulu. W jednej z aluminiowych rurek – kartka, a na niej kilka słów: „Kto tu dotrze, niech zadzwoni pod podany numer telefonu... Ray Genet". Niestety, dzielny Amerykanin zginął podczas powrotu ze szczytu. W miejscu listu Geneta, który zabraliśmy ze sobą, włożyłem naszą wizytówkę: „Polish winter expedytion" – Polska Zimowa Wyprawa. Wrzuciliśmy do plecaków kilka odłamków skał z wierzchołka, odrobinę śniegu. I to wszystko. Trzeba było wracać...

Ostatkiem sił

Krzysztof Wielicki: „I dopiero wtedy przyszła świadomość, że jesteśmy w pół drogi. Teraz trzeba stąd zejść. Powrót na Przełęcz Południową miał się okazać znacznie trudniejszy od wspinaczki w górę.

W okolicach Wierzchołka Południowego zabrakło w butlach tlenu. Porzuciliśmy je, pozbywając się 10 kg bagażu, ale teraz zmęczenie narastało błyskawicznie. Moje odmrożone nogi dokuczały coraz bardziej. Schodziłem wolno, raz bokiem, raz tyłem, starając się stąpać na piętach. Nie dodał nam otuchy widok znalezionych zwłok Annelore Schmatz. Leżały przysypane śniegiem. Nieco niżej zobaczyliśmy czekan i plecak Raya Geneta. Był moment, kiedy straciłem nadzieję, gdy nie dawałem sobie szans przeżycia. Walczyłem jednak do końca. To była walka o życie."

Leszek Cichy: „Wystąpiły zaburzenia wzrokowe. To ta wysokość i brak tlenu. Nie odróżniałem już zbocza od nieba, chmur od śniegu. Instynktownie, w zapadającym zmierzchu, odnajdywałem właściwy szlak.

Nurtowała nas jedna myśl. Czy namiot na Przełęczy Południowej, w którym mieliśmy spędzić noc, stoi, czy też został porwany przez wichurę? Ta druga ewentualność oznaczała dla nas śmierć. Posuwałem się szybciej. Już na przełęczy, gdy droga do obozu była prosta, zostawiłem Krzyśka i przyspieszyłem kroku. Nasz mały, szturmowy namiocik stał na swym miejscu. Ulga. Znalazłem się w nim o 20,30 czasu nepalskiego. Kilkadziesiąt minut później dotarł do obozu Krzysztof."

Krzysztof Wielicki: „W bazie oczekiwano na nasz meldunek. Wiedzieliśmy jak się niepokoją. A jednak nie byliśmy w stanie uruchomić radiotelefonu i wykrztusić tych kilku słów. To było ponad nasze siły. Nie jedliśmy nic już dwa dni, byliśmy zmordowani fizycznie i psychicznie. Całą noc rozgrzewałem nad spirytusową maszynką odmrożone palce. Trwaliśmy tak w półśnie do rana i dopiero wtedy zawiadomiliśmy bazę, że żyjemy, że schodzimy niżej, do obozu trzeciego."

Męstwo i hart

Andrzej Zawada: „Kierowałem wspaniałym zespołem, świetnymi alpinistami. O sukcesie zadecydował upór, ambicja, hart ducha. Wiedziałem już wcześniej, że wszyscy uczestnicy wyprawy świetnie znają swoje rzemiosło, że do perfekcji opanowali technikę. Nie byłem jednak pewny, czy wytrzymają w warunkach, jakich nie spotkali jeszcze w swej alpinistycznej karierze. W Alpach czy na Kaukazie przy takim wietrze i takim mrozie nikt nie wychyli nosa z namiotu. Tu trzeba było działać.

Od początku do końca tej wyprawy wszyscy dawali z siebie wszystko. Musiałem często powstrzymywać zapędy kolegów. Chcieli iść w górę nawet wtedy, gdy warunki były fatalne. Pragnęli tego sukcesu, marzyli o tym wierzchołku nieustannie. Byłem więc pewny, że cel osiągniemy.

Działaliśmy zgodnie, z mozołem pnąc się coraz wyżej. Łączył nas trud, niebezpieczeństwo, wiatr, mróz i ta wyśniona wielka góra..."

TOMASZ TRZCIŃSKI
Fot. **Mirosław Wiśniewski**

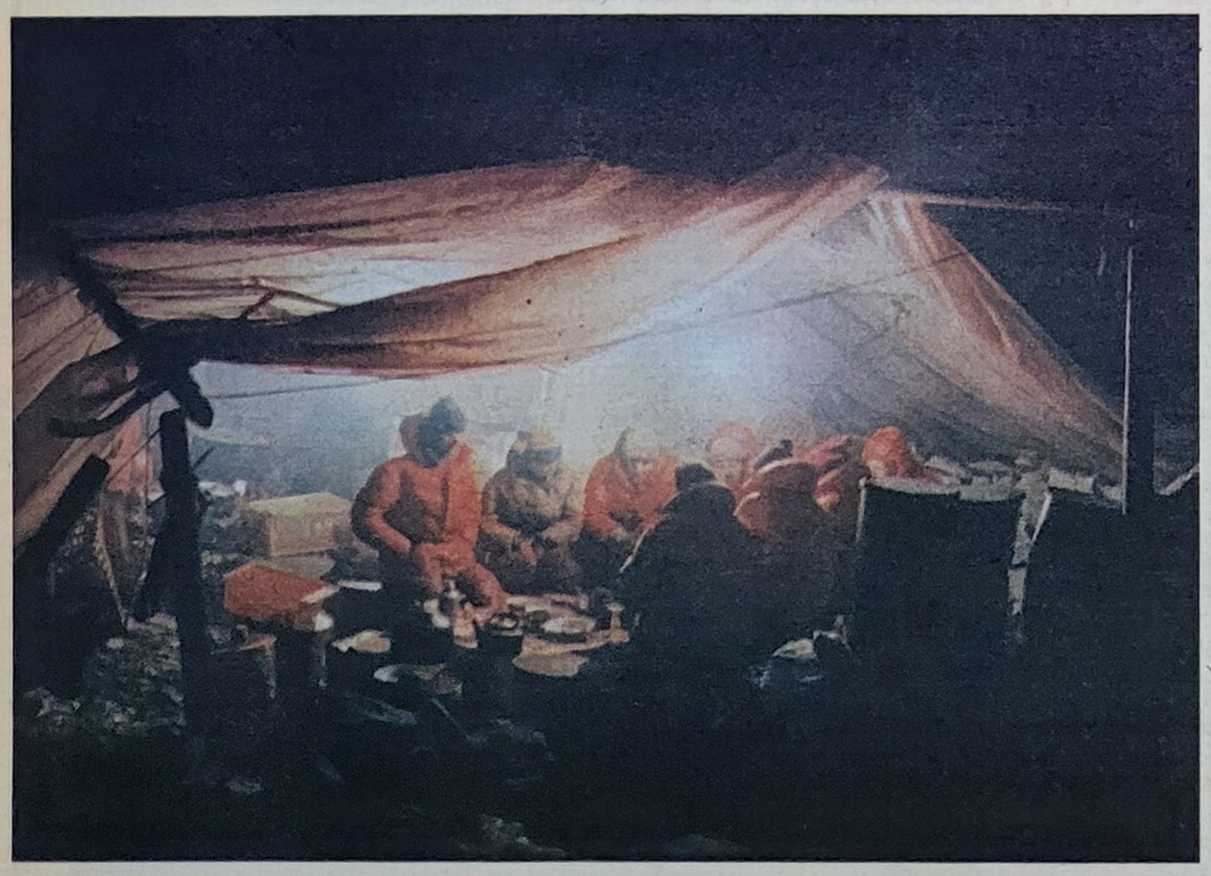

W czasie kolacji w bazie rozmawiało się o jednym: jak pokonać „Górę gór"

Początki były skromne

KARUZELA pod Bałszyną

Ostrzeszów od Palmir, miejsca spoczynku zamordowanego przez hitlerowców Janusza Kusocińskiego, dzieli 263 km. Właśnie dziś, w sobotę o godzinie 10,30, z tego podwarszawskiego cmentarza, od grobu naszego olimpijskiego mistrza, wyruszyła do Ostrzeszowa gigantyczna sztafeta biegaczy województwa kaliskiego. Niesie ona pochodnię, od której zapłonie znicz na ostrzeszowskim stadionie. W jego blasku rozpocznie się centralna inauguracja Dni Olimpijczyka. I słynny już nawet poza granicami kraju ostrzeszowski cross. O jego historii opowiada nam Jerzy Makles – człowiek, któremu ta miejscowość i cała ziemia kaliska zawdzięcza sporo. Ma on dwie pasje: pracę z młodzieżą i wspomniany już bieg przełajowy. Był jego współinicjatorem i do dziś jest jednym z organizatorów.

Blisko 20 lat upłynęło od tamtego czasu, ale doskonale pamiętam nawet najdrobniejsze szczegóły związane z początkami crossu. O imprezie, choć zainaugurowaliśmy ją w 1963 roku, myśleliśmy dużo wcześniej. Przecież ginęła tradycja tak popularnych niegdyś narodowych biegów, w których – co tu ukrywać – rozpoczynali swój marsz przez stadiony świata tej miary zawodnicy co Krzyszkowiak, Chromik, Orywał, Zimny... Tę lukę należało wypełnić. Nie, jeszcze wówczas nie myśleliśmy o stworzeniu ogólnopolskiej imprezy i przyznaję szczerze, że taka myśl przeraziłaby nas wtedy bardzo. Marzyliśmy raczej o dobrych lokalnych i sprawiających wszystkim satysfakcję biegach – dla dzieciarni i dorosłych.

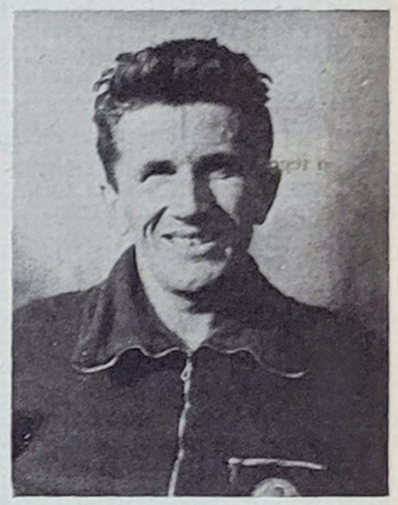

Jerzy Makles poczuł smak i wartość crossowych biegów. Startował w nich jako zawodnik. Obecnie pełni funkcję I wiceprezesa Wojewódzkiej Federacji Sportu w Kaliszu

Przypominam sobie pierwszy cross, 120 jego uczestników, z których każdy przeżywał go mocno na swój sposób. I ogrom radości za umożliwienie im najczęściej pierwszego w życiu skosztowania sportowej walki. Te rozpromienione twarze, drżące ze wzruszenia dłonie odbierających dyplomy, stały się dla nas zachętą do kontynuowania zawodów również w następnych latach. Dziś, przyznaję, że nie uniknęliśmy wielu błędów, a więc decyzji o ograniczeniu poszczególnych dystansów do kilkuset zaledwie metrów. Wbrew naszym intencjom cross zmienił się w bieg sprinterski, który przecież w warunkach terenowych nie ma racji bytu. Ale na błędach człowiek się uczy i nie ma się czego wstydzić. Również powodów do rumieńców nie powinien mieć miejscowy malarz, który na ogromnym transparencie napisał: „Witamy na grossie".

CIĄG DALSZY NA STR. 7

W eliminacjach do tegorocznego ostrzeszowskiego crossu wystąpiło ponad 40 tys. biegaczy, głównie uczniów

Fot. **archiwum Jerzego Maklesa**

DZIURA W ZIEMI czyli jak zniknęło miasto

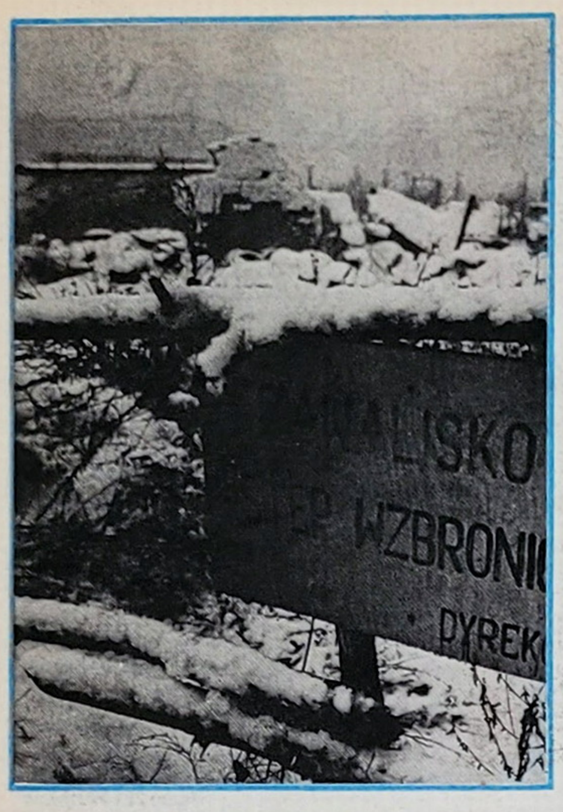

Domy zagrożone przeznaczono do rozbiórki. Na ich miejscu wyrośnie las

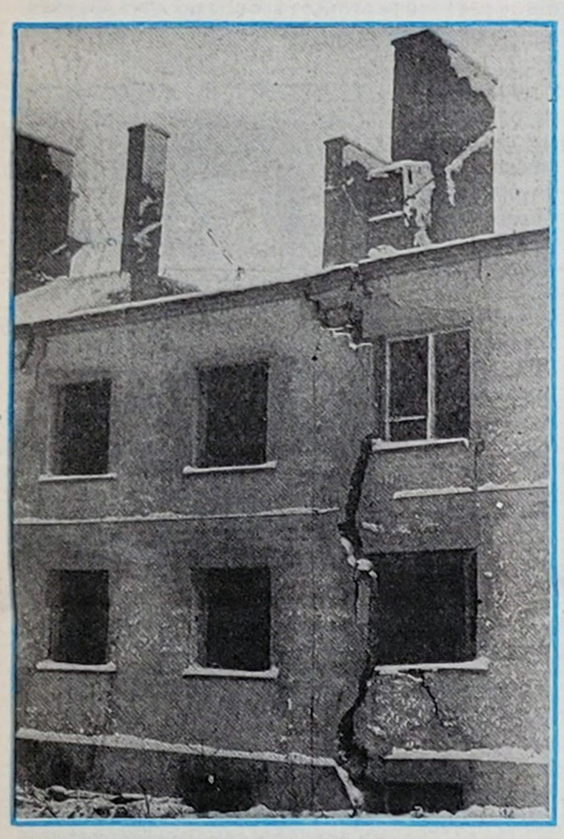

Woda lała się przez otwór w ścianie na trzecim poziomie już prawie rok. W zmiennym tempie, raz więcej, raz prawie wcale. Stosowano zwykłe, wypróbowane w takich wypadkach środki: cementowe plomby, specjalne tworzywa sztuczne wstrzykiwane wprost w solne ściany, pracowały pompy odprowadzające nadmiar wody. Mało kto na górze nie będąc związanym z kopalnią wiedział w ogóle o wycieku. A gdyby nawet – z wodą walczono tu zawsze. To była normalka. Za kilka lat kopalnia miała przerwać wydobywanie soli, chodziło tylko o bezpieczne dotarcie do tego granicznego momentu.

Pod koniec lipca wyciek powoli zaczął ustępować. Nawet zaczęto żałować, że importowany ze Szwajcarii kombajn górniczy wyjechał na górę. Teraz, gdy już bezpiecznie, jakże przydałby się w chodniku... Pierwszy, drugi, trzeci sierpień – wody nie ma! Piątego, w nocy, w środku ziemi coś pękło. Teren wokół kopalni drgnął, jakby próbował się po tym pęknięciu wyprostować i zapadł się w głąb. Stojąca przy szosie lipa zjechała nagle gdzieś na dół, wraz z kawałkami asfaltu i płytami chodnikowymi. W nocy trudno było coś w owym dole dostrzec – ale w dzień okazało się, że kilka metrów niżej prócz skłębionej ziemi nie ma po prostu nic. Ani listka.

NOC I

Wapno nie jest już wsią, a jeszcze nie miasteczkiem. Przed reorganizacją województw leżało na skraju bydgoskiego, po – na skraju pilskiego. Nie, ludzie nie mieli kompleksu głębokiej prowincji. Była linia kolejowa, nowe, piętrowe domy, stadion, korty tenisowe i przede wszystkim dająca pracę kopalnia soli kamiennej. Dobrą pracę – sporo mieszkańców Wapna miało własne samochody, kończono właśnie budowę nowego zespołu garaży. 5 sierpnia 1977 roku te garaże zwaliły się pierwsze. Na szczęście nie było w nich samochodów. W rejonie kopalni powstały wyrwy kilkunastometrowej głębokości i szerokości. Budynek dyrekcji szamotał się na fundamentach, sypał dokoła tynkiem i pękającymi szybami. Ludzie zastanawiali się, co dzieje się tam, na dole, na trzech kopalnianych poziomach. Zmiana, która ostatnia wyjechała czynnym jeszcze szybem składała się z górników w większości nie mających butów. Woda z zalepionego (pozornie) otworu poszła tak szybko i pod takim ciśnieniem, że najwygodniej było uciekać na bosaka. Udało się wszystkim.

Narada w dyrekcji, jeszcze przed świtem: ewakuować natychmiast rejon kopalni. Do odległej o kilkaset metrów szkoły, do rozstawionych później, w ciągu dnia wojskowych namiotów. Szczęście w nieszczęściu – sierpień, ciepło, namiot przez kilka dni zupełnie dobrze zastępuje utracone mieszkanie.

USPOKOJENIE

Zygmunt Kubasik, I sekretarz kopalnianej organizacji partyjnej:

– Najgorszy czas był dla mnie wówczas, gdy nie potrafiłem odpowiedzieć ludziom na najprostsze nawet pytanie: „co się stało i co będzie dalej". To trwało kilka dni zaledwie. Potem były już decyzje wojewody, władz resortu górnictwa, zarządów spółdzielni mieszkaniowych. A więc po pierwsze zamknąć, a następnie zalać kopalnię wodą z pobliskiego jeziora tak, aby wypełniły się podziemne komory powstałe w procesie eksploatacji złoża solnego. W Pile wszystkie nowo oddawane mieszkania zarezerwowane zostały dla ewakuowanych mieszkańców Wapna. Górnikom zagwarantowano pracę w sąsiednich kopalniach soli, na przykład w Inowrocławiu. Wszystkim zaś wypłacano odszkodowania za poniesione straty i zapewniono pomoc przy wydostaniu rzeczy z popękanych domów. Było całodzienne darmowe wyżywienie, dowożone samochodami towary – i to znakomitej jakości. Powoli przychodziło uspokojenie, byli tacy, co planowali już powrót do swych mieszkań. Całe szczęście, że pilnowaliśmy, aby nikt tego na własną rękę nie czynił. W październiku przyszło drugie tąpnięcie, w styczniu 1978 trzecie. W jakimś sensie byliśmy do tego przygotowani. Teren w dużym promieniu od kopalni był zamknięty, otoczony wojskiem i milicją. A jednak chyba nikt nie potrafi patrzeć spokojnie, jak dorobek całego życia po prostu znika...

NOC II

Inżynier Marek Wesołowski tuż przed pierwszą katastrofą odnowił mieszkanie i teraz, gdy wszystko już się uspokoiło, złość go brała, że nie może korzystać z efektów własnej pracy. Jego dom stał dość mocno, rys i szczelin właściwie na nim nie było – tylko się wprowadzać. Tamtego październikowego wieczoru 1977 roku został dłużej w likwidowanej właśnie kopalni. Wyjrzał przez okno w chwili, gdy sylwetka odległego o dwieście metrów domu dziwnie jakoś zmieniła się. Budynek najwyraźniej stał pod kątem kilkudziesięciu stopni do poziomu, robił się jakby mniejszy i odleglejszy. Zapada się! Jako mierniczy górniczy dobrze wiedział, czym może grozić zbliżenie się do zapadliska – i tylko z daleka obserwował dwupiętrowy blok mieszkalny tonący w zwałach ziemi jak w najprawdziwszej wodzie. Nie było w nim nikogo – a jednak...

Teren wokół październikowego zapadliska obniżył się o osiem metrów. Rano inżynier Wesołowski stwierdził, że powstały lej ma kilkadziesiąt metrów głębokości. Ochota na wprowadzenie się do dawnego mieszkania minęła jak ręką odjął. W miejscach tymczasowego zakwaterowania mieszkańców Wapna zapadły ostateczne decyzje: na powrót do dawnych lokali nie ma co liczyć. Nawet jeżeli jeszcze stoją ocalałe. Styczeń 1978 niczego nie zmienił – co stało, i tak już było spisane na straty.

BILANS

Od sierpnia 1977 do stycznia 1978 ewakuowano z Wapna 377 rodzin, to jest 1500 osób. Wszyscy otrzymali nowe mieszkania w innych miastach, pracę, finansowe możliwości zaadaptowania się w nowych warunkach. Zniszczeniu uległo 12 piętrowych, wybudowanych już po wojnie budynków i całe osiedle domków jednorodzinnych. Tor kolejowy z nasypem, uszkodzony na przestrzeni kilkuset metrów, oddano do użytku dopiero w 1979 roku. Z pozostałych w Wapnie domów mieszkalnych jedynie niewielka część nadaje się do użytku. Resztę trzeba rozebrać, na ich miejscu powstanie szkółka leśna.

Kopalnia nie istnieje i nigdy już w tym miejscu istnieć nie będzie. Ocalałe budynki wykorzystywane są jako baza zakładów remontowych cystern do przewozu płynnej siarki. I – o paradoksie – produkuje się tam również... tabletki solne. Oczywiście z surowca kupowanego w sąsiednich kopalniach...

Czy katastrofę można było przewidzieć? Z takim samym mniej więcej prawdopodobieństwem jak trzęsienie ziemi. Kopalnie soli z czasem zapadają się, zwłaszcza kopalnie tego typu, co w Wapnie. Kiedy i jak daleko od podziemnych wyrobisk powstaną ubytki na powierzchni ziemi – tego przewidzieć się nie da.

Co dalej z Wapnem? Wszelkie decyzje odłożono do końca roku 1980. Wtedy to ekipy geologów i specjaliści-górnicy wydadzą ostateczną opinię w kwestii dalszego możliwego osiadania ziemi. Dopiero potem do pracy będą mogli przystąpić planiści.

I na koniec rzecz jakże ważna – podczas trzech kolejnych tąpnięć nikt w Wapnie nie zginął.

MAREK ZARĘBSKI
Fot. Marek Szymański

Zygmunt Kubasik: Usłyszałem, że rozstępuje się pod nami ziemia. Na początku nie chciałem w to wierzyć...

CZYTELNICY ŚWIATA MŁODYCH BUDUJĄ DAR MŁODZIEŻY

KAROL OLGIERD BORCHARDT

Część II

DAR (2)

Po powrocie do Gdyni szykowaliśmy się do odlotu na zimę na południowe morza. Pierwszy raz „Dar Pomorza" miał pójść na odległe szlaki wielkich żaglowców pod dowództwem młodych absolwentów Szkoły Morskiej w Tczewie.

Przed nami stał otworem świat marzeń dziecięcych, do którego mogliśmy teraz lecieć na skrzydłach Białej Fregaty. Mieliśmy możność zadośćuczynić najbardziej skrytym marzeniom chłopięcej wyobraźni, która nas zaprowadziła na morze. Iściły się zabawy dziesięcioletnich chłopców wyruszających na wielkie wyprawy na z trudem skleconych tratwach o szumnych nazwach. NIEZWYCIĘŻONA lub CUDOWNA. Wyprawy na tajemnicze wody Maracaibo, leżące na... stawie, w miejscu oznaczonym sitowiem i tatarakiem lub na słynną Tortugę, to jest tam, gdzie widniało suche pasmo piasku z drugiej strony stawu. Niedaleko od niej, gdzie z kęp nad stawem wyrastały olchy, był Por Royal na Jamajce, w którym ostatni swój bój stoczył statek kapitana Blooda, noszący imię jego ukochanej, ARABELLA.

Dziś siedzimy w salonie jednej z najpiękniejszych fregat świata i od nas samych zależy, czy pójdziemy na Tortugę, czy do Port Royal, a może przez Chica Boca wedrzemy się do Kartageny w podzwrotnikowej Kolumbii? Jedno jest już pewne, że rozpoczniemy podróż śladami kapitana Blooda od wyspy Barbados, na której zdobył hiszpański okręt „Pięć Ran" i na której poznał piękną Arabellę.

Pierwszy raz czujemy się „wolni" tak, jak nam się wydawało, że musieli się czuć flibustierzy, którzy nie potrzebowali odrabiać lekcji i chodzić do szkoły. Obowiązek szkolenia nowych kadr „wilków morskich" nie tylko, że nam nie przeszkadza w dawaniu folgi swej wyobraźni, lecz jeszcze ją podsyca; chcemy stworzyć młodszym kolegom takie warunki bytowania, by mogli się jak najwięcej uczyć i jednocześnie przeżywać Wielką Przygodę...

... Do obowiązków starszego oficera na „Darze" należy moralna odpowiedzialność za stan takielunku i jego sprawność. W dzień i w nocy, przy każdej pogodzie szesnaście kilometrów lin musi swobodnie przebiegać przez setki bloków, żeby szybko obsłużyć ruchome wieże, czterdziestometrowej przeszło wysokości, zbudowane z tysięcy metrów kwadratowych płótna żaglowego.

Wszystko musi być w stanie wiecznej doskonałości. Nic się nie może zaciąć czy urwać. Nie może pęknąć żadna wyblinka czy perta pod nogami pracujących na rejach uczniów. Najmniejsze niedopatrzenie może kosztować życie ludzkie.

Do wielu innych obowiązków, odziedziczonych przez mnie po Kocie jako starszym oficerze, należy posiadanie w kabinie najlepszego gatunku wiśniówki, która nosi nawet techniczną nazwę – MEDYCYNA. Specjał ten od lat przekazują sobie kolejno starsi oficerowie „Daru". Ma swe praktyczne zastosowanie na morzu, gdy wieczorem, po robotach, do kabiny przychodzi starszy bosman Białej Fregaty. Zasiada na kanapie przy biurku, na którym zjawia się natychmiast malutki kieliszek do likieru i butelka „Medycyny". Jest to obrządek, czy rytuał, podczas którego ustala się całokształt prac dziennych, omawia się wykonane przez każdego ucznia roboty i przygotowuje się przydział prac na dzień następny.

Nazajutrz znów spotykamy się z bosmanem – o godzinie wpół do szóstej na pokładzie, przed początkiem robót; na to spotkanie bosman zjawia się z nieodzownym kubkiem czarnej kawy.

O godzinie wpół do dziewiątej udajemy się wspólnie na wędrówkę po jednym z masztów, rozpoczynając oględziny od jabłka na szczycie i sprawdzając stan każdej wanty, zabezpieczenie każdej wyblinki czy szekli.

Podczas tych podniebnych wędrówek bosman zawsze przypomina jak „my obydwaj" chodziliśmy zmieniać szekle – on jako żaglomistrz, ja jako uczeń. Wspomina, jak to używał mnie zamiast linobloku do naciągania brasów, by zluzować szeklę, którą należało zmienić. Do wszystkich, którzy kiedyś byli na „Lwowie", mówi zawsze po imieniu. Przypominamy sobie dawniejszych moich kolegów...

W opiniach swych co do uczniów żaglomistrz nie mylił się nigdy. W stosunku do kandydatów zdanie swe – co do ich przydatności do służby – wyrażał w swoisty sposób, wymieniając sumę pieniędzy, jaką już „odłożył" na dane nazwisko. Wielką wesołość budził potem kandydat wśród uczniów, gdy chwalił się naśladując sposób mówienia bosmana Leszczyńskiego:

– Ja mam dla waju odłożone dwadzieścia groszy.

Twarz chłopca zaczynała się mienić, gdy się dowiadywał od uczniów, że odłożona suma przeznaczona jest na... bilet powrotny do domu, jako dla nie nadającego się do służby na morzu. Wymieniona kwota była procentową oceną złej pracy...

XI TWO

Finał w Budziszewku

CIĄG DALSZY ZE STR. 1

W dolnym korytarzu uwagę przyciąga gazetka, a na niej mnóstwo zdjęć – dokumentacja spotkań „Koniczynek z ludźmi, których warto poznać".

– Pomyślałyśmy – mówi Beata – że w ten sposób wzbogacimy naszą wiedzę i zdobędziemy informacje do głównego zadania „Album Polska–1980". Ja z Alą, miałyśmy zaprosić kierownika PGR w Studzieńcu. Poszłyśmy po lekcjach, w środę. Pan kierownik, Marian Dąbrowski, był akurat w biurze. Bałyśmy się trochę... pierwszy raz szłyśmy do tak ważnej osoby. Ale pan Dąbrowski bardzo się ucieszył i, oczywiście, zaproszenie przyjął. Na spotkaniu w świetlicy opowiadał o problemach gospodarstwa, którym kieruje, o konieczności remontu stajni, o kłopotach z utrzymaniem dyscypliny pracy. Mówił też o planach rozwoju PGR-u.

Był taki tydzień, że codziennie się z kimś spotykali po lekcjach. Gościli m.in. radnego – inż. Franciszka Wańkowicza, wzorowego rolnika Ireneusza Kubisza, przewodniczącą Koła Gospodyń Wiejskich Pelagię Frachanowską.

Bardzo ciekawe były też spotkania z... dyrektorem ich szkoły. Tym razem pan dyrektor nie pytał, a sam znalazł się w ogniu pytań – o historię szkoły, o to jak doszło do wybudowania nowej...

Zastęp „Obieżyświaty" realizując zadanie „Rodzinny skarbiec" poznawał przeszłość rodziny państwa Zieleniewskich. Oto kartka z albumu: *„Nasi goście opowiadali nam o przedwojennym harcerstwie i swoich przeżyciach z okupacji. Pan Zieleniewski brał udział w bitwie pod Monte Cassino – pokazał nam swoje odznaczenia, dokumenty i wspólne zdjęcie z Melchiorem Wańkowiczem, Pani Zieleniewska opowiadała o partyzantce."*.

Inna kartka: *„W naszej wsi Budziszewko oprócz szkoły i pałacu jest sklep. Dawniej sklep mieścił się w starej gorzelni"*.

Tak. Te spotkania są już za nimi. Teraz stoją na baczność przed popiersiem Adama Mickiewicza. Słyszę: „Obywatelu dyrektorze, drużynowa Janina Ruta melduje wszystkich harcerzy na uroczystym apelu podsumowującym XI TWO".

Wokół goście, rodzice. Harcerze zapraszają do zwiedzania szkoły. Idziemy do sali, w której zgromadzono pamiątki z rodzinnych skarbców. Wita nas Bernarda Jędrzejczak w oryginalnym kaszubskim stroju, w którym kiedyś chodziła prababka jej koleżanki. Na ławkach leżą zdjęcia rodzinne, pamiątki, jest nawet stara lokówka, którą pięknisie karbowały sobie włosy.

W kolejnej sali gwar, tłok. Tu kolekcjonerzy wystawiają swoje zbiory. Są muszle, proporczyki, figurki, widokówki, lalki, samochody, numizmatyki.

Po korytarzach suną „muzealnym" wręcz krokiem, zwiedzający. W kolejnej sali pamiątki, dokumenty i książki poświęcone bohaterowi szkoły Adamowi Mickiewiczowi.

BANG! – Nagle rozlega się nie wiadomo skąd.

A potem: – Maska diabła! Cena wywoławcza 10 złotych. – 10 złotych po raz drugi! – Piętnaście! – pada z boku. – Piętnaście po raz pierwszy – piętnaście po raz drugi, – piętnaście po raz trzeci. BANG! Młotek przypieczętowuje transakcję. Maska sprzedana.

To druhna Elżbieta Zielińska prowadzi licytację. Każdy uczestnik turnieju przygotował coś na aukcję. Są prace plastyczne, wazoniki, maskotki, świeczniki i przepięknie haftowane serwetki. Sama skusiłam się na jedną... (Jak się potem okazało – aukcja przyniosła ok. 760 zł zysku. Pieniądze przekazane zostaną na CZD). Temperatura rośnie. Aukcja wciąga. Licytują nie tylko uczniowie, ale i rodzice, goście... A tu już pora na montaż słowno-muzyczny: piosenki, wiersze o najbliższych, o „kraju znad Odry i Wisły", który „Włóczęgi szlak otwiera ci".

I zaraz potem – ogłoszenie oficjalnych wyników, dyplomy, gratulacje. Czas upłynął niepostrzeżenie. Pora odjeżdżać. Tyle tu było atrakcji, aż trudno uwierzyć, że cały turniej zorganizowały dwie drużyny harcerskie – liczące w sumie 54 osoby (oczywiście, pomagali im koledzy z klasy i drużyna zuchowa, wychowawcy.)

Jestem pełna podziwu dla ogromu tej pracy, bogatej oprawy graficznej przygotowanej przez członków koła plastycznego „Akant".

I, nie umniejszając zasług budziszewskich harcerzy – mam małą wątpliwość: czy taka masa zgromadzonych eksponatów jest „przyswajalna" dla widza. Czy na przykład nie lepiej było zgromadzić mniej okazów, a zbiory zaopatrzyć w metryczki informujące o ich pochodzeniu i ofiarodawcach. I druga wątpliwość... Czy aż 24 konkurencje, to nie za dużo do ogólnej punktacji turnieju.

Chociaż, gdy spytałam o to harcerzy, odpowiedzieli – Nie było wcale za dużo pracy. My bardzo lubimy malować. Po prostu – przez ostatnie 4 tygodnie zostawaliśmy w szkole do wpół do piątej.

ANNA PACIOREK

Komu pałac?

Może istnieć, może się rozpaść

W Budziszewku, gdzie gościliśmy na zakończeniu XI Turnieju Wiedzy Obywatelskiej, harcerze mówią: **„z goryczą patrzymy codziennie z okien naszej pięknej szkoły na niszczejący bezpański, XIX-wieczny klasycystyczny pałac. Należał on kiedyś do Łubieńskich, przebywał w nim patron naszej szkoły – Adam Mickiewicz. Bardzo chcielibyśmy, żeby znalazł się jakiś mecenas, który uchroniłby ten piękny zabytek od całkowitej katastrofy. Nasze skromne zbiory mogłyby się znaleźć w jego pomieszczeniach."**

Harcerzom marzy się tam też sala wystawowa dla prac koła plastycznego „Akant"... A tymczasem budynek jest w fatalnym stanie i nic nie wróży jakiejkolwiek poprawy.

Mówi dyrektor szkoły inżynier Marian Sokołowski: jest to własność Państwowego Funduszu Ziemi. Korzystaliśmy z tego budynku od wyzwolenia aż do 1968 roku. Wtedy dbaliśmy o niego, w miarę naszych skromnych możliwości. Po 1968 r., kiedy zbudowano nową szkołę, pałac przeznaczono na potrzeby wsi. Część zajmuje Klub Rolnika; mieszka też w nim jedna nauczycielska rodzina. Pałac należy do IV klasy zabytków – może istnieć, może się rozpaść. Tylko kto ma utrzymywać tego kolosa? I kto go wyremontuje? Żeby dbać na bieżąco, trzeba tu najpierw włożyć miliony w generalny remont. W ubiegłym roku łódzka fabryka „Teofilów" chciała ten budynek kupić. I co się okazało – Urząd Wojewódzki w Pile wyraził zgodę tylko na dzierżawę. Więc zrezygnowali. Jaka jest szansa na uratowanie tego pałacu? Żadna. Chyba, żeby kupił go jakiś bogaty zakład np. ze Śląska. Tu w pobliżu nad jeziorem Budziszewskim są trzy duże ośrodki wypoczynkowe. A woda w jeziorze czysta... Dlaczego konserwator wojewódzki ociągał się wtedy, gdy trafił się chętny do kupna zakład? Jeszcze ze dwa, trzy lata i budynek zupełnie się rozpadnie. Nad jednym z pomieszczeń już zarwał się strop.

Harcerze realizując zadania TWO wykazali, że nieobca jest im troska o najbliższe otoczenie, o dobro gospodarki narodowej i kultury jakim jest pałac w Budziszewku. Czy władze terenowe i wojewódzkie, a zwłaszcza Wojewódzki Konserwator Zabytków, również zatroszczą się o ten pałac, na którym w 1950 roku miejscowi chłopi w czynie przedkongresowym jedności ruchu ludowego umieścili tablicę, by utrwalić pamięć o pobycie w Budziszewku Adama Mickiewicza.

Fot. **Marek Szymański**

REDAKCYJNA POCZTA

Uwaga, drużyny i szczepy harcerskie im. „Hubala"

Przygotowujemy się do uroczystości nadania imienia i sztandaru naszemu Szczepowi 221 WDHiZ, działającym przy Szkole Podstawowej nr 297 im. B. Prusa w Warszawie. Naszymi bohaterami będą „Hubalczycy", żołnierze z partyzanckiego oddziału mjr. Henryka Dobrzańskiego „Hubala". W związku z tym pragniemy nawiązać współpracę z drużynami i szczepami noszącymi to imię. Druhny i druhowie, czekamy na Wasze listy.

Szczep 221 WDHiZ
przy Szk. Podst. Nr 297 im. B. Prusa
ul. Olbrachta 48/56
01-111 Warszawa

Słowo, które wiele znaczy

W czasie wakacji zwróciłam uwagę na Jarka. Nie jest on chłopakiem atrakcyjnym, jest niski może nawet niepozorny, ale ma fajny charakter i niewiele brakuje mu do mojego ideału. Podczas roku szkolnego mieszkam w internacie i z Jarkiem kontaktujemy się głównie poprzez listy. Jarek daje mi w nich do zrozumienia, że mnie kocha i ciągle pyta, co ja o nim myślę. Ale ja nie wiem, czy to, co do niego czuję, to miłość. Właśnie tak mu napisałam. Jednak on nie potrafi tym zadowolić się. Twierdzi, że nie chcę mu napisać prawdy, że wymiguję się od, odpowiedzi. Nie chcę Jarka stracić, ale przecież nie mogę napisać mu tego, czego sama nie jestem pewna. Bardzo liczę na pomoc Czytelników. Co mam zrobić?

Barbara

Poproście o pomoc wychowawców

Mam już 16 lat, jednak moi rodzice traktują mnie jakbym miała o połowę mniej. Pomimo że uczę się dobrze, rodzice nie pozwalają mi choć raz w miesiącu pójść na dyskotekę czy spotkać się z moją sympatią. W szkole na lekcji przysposobienia do życia w rodzinie spytałam czy pójście do dyskoteki, bądź spotkanie z chłopakiem powinno być osobom w moim wieku zabronione. Pani dyrektor prowadząca te zajęcia odpowiedziała, że spotkania z chłopakiem (oczywiście w granicach rozsądku) nie są niczym złym, ponieważ uczą one nas kryteriów oceny chłopców, rozwijają umiejętność dyskusji, rozwijają zainteresowania. I to jest, moim zdaniem, prawda. Przecież musimy przekonać się, co dla nas w drugim człowieku jest ważne! To pozwoli nam uniknąć wielu życiowych rozczarowań. A kiedy chodzić na dyskoteki, jak nie teraz! Moja mama wszystkie nasze dyskusje kwituje stwierdzeniem, że na wszystko przyjdzie czas i że nie należy go wyprzedzać. Wiem, że nie ma racji. Ale co mi z tego. I tak niczego mi nie wolno!

Zrozpaczona Sławka

OD REDAKCJI: Czy w klasie tylko Ty, Sławko, masz takie problemy? Sądzimy, że nie. Poproście więc panią dyrektor i wychowawczynię klasy o to, aby na zebraniu z rodzicami poruszyły ten nurtujący Was problem. One na pewno znajdą więcej argumentów w dyskusji z rodzicami niż Wy to potraficie zrobić. Jeżeli dobrymi wynikami w nauce potwierdzicie ten ważki argument, że spotkania z sympatią czy pójście na dyskotekę nie przeszkadzają w nauce, a często dopingują do otrzymywania lepszych ocen, rodzice na pewno przyznają Wam więcej praw. Życzymy Wam tego serdecznie. (dś)

Świat Muzyki
GAZETA MELOMANÓW
Redaguje LECH NOWICKI

Fot. Ryszard Radowiecki

śpiewajmy razem
zsmp

FESTIWALE, FESTIWALE...

TORUŃ

Za nami eliminacje, przed nami największy z młodzieżowych festiwali – Młodzieżowy Festiwal Piosenki w Toruniu. Do udziału w tej imprezie zakwalifikowano 43 wykonawców, którzy walczyć będą o miejsce w Złotej Dziesiątce. Pierwszą Złotą Dziesiątkę wybierano w Polsce... 18 lat temu. Do Szczecina jechało się wtedy najmodniejszym, świeżo odkrytym i oficjalnie dozwolonym autostopem! O polskim big-beacie mówiło się jeszcze szeptem po kątach, jego wielkie dni miały dopiero nadejść. Ale nie o Festiwalu Młodych Talentów chciałem pisać, lecz o Młodzieżowym Festiwalu Piosenki, zatem – ad rem, czyli do rzeczy.

Oficjalnie festiwal rozpocznie się 13 kwietnia, nieoficjalnie już 11, kiedy to zaprezentują swoje programy Wojewódzkie Kluby Piosenki – o nich za chwilę. Na 13 zaplanowano dwuczęściowy koncert inauguracyjny. W części pierwszej wystąpią laureaci festiwali: zielonogórskiego, kołobrzeskiego, opolskiego i toruńskiego oraz uczestnicy Warsztatów Piosenkarskich w Lublińcu, którzy wykonają po dwie piosenki: konkursową i dowolną. Jury oceni nowe piosenki, rozstrzygając tym samym konkurs na piosenkę dla młodzieży zorganizowany przez ZG ZSMP i Stowarzyszenie Muzyki Estradowej. Drugą część koncertu wypełni program Klubu Piosenki Studia Młodych z udziałem profesjonalistów oraz amatorów. Przewidziano m. in. naukę premierowej piosenki do wspólnego śpiewania, autorstwa Wojciecha Trzcińskiego i Marka Dutkiewicza, dyskusję nad werdyktem jury zakończonego wcześniej konkursu itd., itd. 14 i 15 kwietnia 43 wykonawców zaśpiewa po dwie piosenki. Jury wytypuje Złotą Dziesiątkę najlepszych interpretatorów. 16 – najlepsi z najlepszych przypomną się publiczności na koncercie laureatów. Nowością, obok nurtu klubowego, będzie koncert promocyjny, na którym zobaczymy i usłyszymy absolwentów Warsztatów Piosenkarskich w Lublińcu. Pisałem kilka razy o tej formie kształcenia, czy raczej dokształcania laureatów różnych festiwali. Zapomniani, pozbawieni opieki artystycznej zaczynają „chałturzyć" w Estradach, albo... albo w ogóle przestają śpiewać. Nazwisk utalentowanych dziewcząt i chłopców, nazw interesujących zespołów zagubionych między festiwalami mógłbym podać kilka, może nawet kilkanaście. Zapraszam ich do Lublińca... ZG ZSMP?! Warsztaty lublinieckie cieszą się zasłużoną popularnością w środowisku muzykujących amatorów. Czy młodzi piosenkarze zrobili postępy? Przekonamy się o tym w Toruniu...

Wracam do klubów piosenki. Przypomnieć trzeba, że ZSMP-owska „akcja rozśpiewania" miała być realizowana właśnie w Klubach Piosenki, gdzie hasło „Śpiewajmy razem" ma rację bytu. To prawda, że tych klubów powstało niewiele, że te istniejące pracowały różnie, że narzekano na brak repertuaru i instruktorów z prawdziwego zdarzenia, ale... gra warta jest chyba przysłowiowej świeczki. Od grudnia 1978 roku istnieje w Warszawie Centralny Klub Piosenki – Klub Piosenki Studia Młodych, pełniący funkcję interklubu. Stąd w jego programie, obok mikrofonu dla wszystkich, recitali znanych solistów i zespołów, dyżurów autorów tekstów i kompozytorów – propozycje Wojewódzkich Klubów Piosenki, zapraszanych do stolicy raz w miesiącu. Po ubiegłorocznym falstarcie, Kluby Piosenki po raz drugi upominają się o należne im miejsce w akcji rozśpiewania. Trzeba jednak wiedzieć, że dwa wieczory klubowe oraz druga część koncertu inauguracyjnego to dopiero początek, propozycja, próba odczytania nazwy Klub Piosenki, nazwy dotąd trochę tajemniczej. Czy Kluby Piosenki „zaistnieją" po festiwalu toruńskim? – tego nie wiem. Wiem natomiast, że ten festiwal, jeśli chce się czymś różnić od innych, powinien przestać traktować Kluby Piosenki po macoszemu.

SIEDLCE

Dziś odbywa się w Tarnobrzegu przegląd rejonowy przed XI Ogólnopolskim Festiwalem Piosenki Harcerskiej w Siedlcach. Pozostałe cztery przeprowadzone zostaną w Nowym Sączu, Opolu, Słupsku i Olsztynie. Festiwalowy regulamin dopuszcza do udziału w tej imprezie zuchowe, harcerskie i szkolne zespoły wokalne i wokalno-instrumentalne, które powinny zaprezentować po trzy piosenki o tematyce rzecz jasna harcerskiej, w tym jedną premierową. Ponieważ z wyszukaniem premierowych piosenek zawsze jest kłopot, od dziś do końca kwietnia drukować będziemy nuty i słowa nowych, nigdzie dotąd nie wykonywanych piosenek. Możecie włączyć je do swoich repertuarów. Harcerskiemu Festiwalowi, o którym napiszę więcej po zakończeniu przeglądów rejonowych, towarzyszyć będzie hasło – „Każdy harcerz chce i potrafi śpiewać piosenki o swoim życiu, o swojej ojczyźnie".

ZIELONA GÓRA

Trwają eliminacje do XIX Ogólnopolskiego Konkursu Piosenki Radzieckiej. Najlepsi soliści, zespoły wokalne i wokalno-instrumentalne spotykają się na eliminacjach centralnych w Tarnowie, Radomiu i Inowrocławiu, gdzie wyłoniona zostanie grupa, która otrzyma zaproszenia na Festiwal Piosenki Radzieckiej w Zielonej Górze. Jeszcze krótko o regulaminie. Każdy uczestnik zobowiązany był przygotować dwie piosenki radzieckie i wykonać co najmniej jedną z nich w języku polskim. W konkursie nie mogli uczestniczyć absolwenci wydziałów wokalnych średnich i wyższych szkół muzycznych.

NA ZDJĘCIACH: Najzdolniejsze zdaniem piszącego te słowa laureatki festiwali toruńskiego i siedleckiego: Maria Jeżowska i Beata Andrzejewska

Fot. Jan Łukasiewicz

Szła piosenka z harcerzami...

Muz. **Adam Pałac** Sł. **Irena Kwinto**

Szła piosenka leśną drogą,
przytupując lewą nogą,

Szła piosenka z harcerzami,
ścieżynami i polami.
Szła jak młodość rozśpiewana,
w tej młodości rozkochana.
Lewa... lewa raz dwa trzy

Refren:
Harcerska piosenka
igliwiem lasu pachnąca.
Harcerska piosenka
zapałem młodym płonąca.
Harcerska piosenka,
jak młodość, jak przyjaźń, jak kwiat.
Harcerska piosenka
szła z harcerzami przez świat.

Gdy spoczęła pod namiotem,
to sypnęła słońca złotem,
Przy ognisku piosenka mała
ciepłe iskry zapalała.
Orle pióra zaszumiały
i piosence wtórowały –
Lewa... lewa... raz dwa trzy.

Refren:
Harcerska piosenka
igliwiem lasu pachnąca.
Harcerska piosenka,
zapałem młodym płonąca
Harcerska piosenka
jak młodość, jak przyjaźń, jak kwiat.
Harcerska piosenka
szła z harcerzami przez świat.

Gdy noc gwiazdy pogasiła,
znów się piosenka obudziła.
W kroplach rosy się skąpała
z harcerzami wędrowała.
Szła jak młodość rozśpiewana,
w swej Ojczyźnie rozkochana,
Lewa... lewa, raz dwa trzy.

Refren:
Harcerska piosenka
igliwiem lasu pachnąca
Harcerska piosenka,
jak młode serce gorąca
Harcerska piosenka
w niej miłość i przyjaźń jak kwiat
Harcerska piosenka,
w niej urok młodości lat.

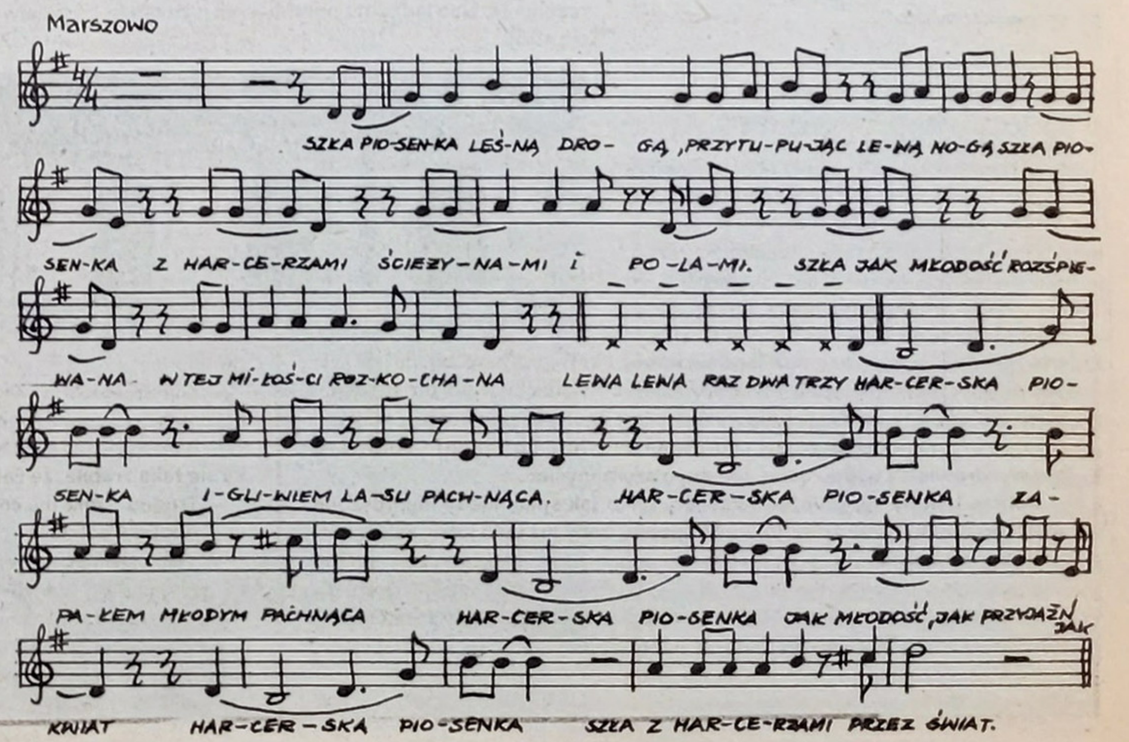

PIĘĆ MINUT Z ANKĄ

O nie! Jak nie jestem wrogiem staruszek, małych dzieci i innych potrzebujących pomocy, to przysięgam, że więcej nie dam się nabrać. Co to, to nie, mowy nie ma – koniec, cześć pieśni i kwita! Bywało, że np. Jagoda naśmiewała się czasami ze mnie czy z Ulki – „Co wy takie wyrywne jesteście, takie uprzejme, takie... proszę, dziękuję, może w czymś pomóc?! Mało macie swoich spraw!?", a my wtedy wymieniałyśmy między sobą słowa oburzenia, że jak można być takim sobkiem jak ona. Ale teraz doskonale ją rozumiem. W końcu rzeczywiście – czy ja mam mało swoich spraw, żeby zajmować się cudzymi?!

O nie! Wczoraj w SAM-ie, już za kasą, tam gdzie pakuje się kupione rzeczy do własnej torby, jednej pani oberwało się ucho od siatki. Siatka była wyładowana po brzegi, a ona rozglądała się bezradnie. Ponieważ miałam akurat sporą i solidną agrafkę, zaproponowałam jej, żeby to ucho tą agrafką przypięła. Rozpromieniła się w uśmiechu i w podzięce, ucho przypięła, ale... ciągle się na mnie gapi. Po sekundzie jakiejś podeszła znowu. Że ona przeprasza, ale może bym była tak miła, skoro już raz byłam tak miła, i pomogła jej tę siatkę do domu zanieść, bo boi się, że agrafka się rozepnie i co ona biedna po drodze zrobi. Jęknęłam w duchu, ale głupio mi było odmówić. W końcu człowiek starszy i taki jakiś zagubiony. Jęknęłam po raz drugi, jak za tę jej siatkę złapałam – kamieni tam naładowała czy jak?! No, ale trudno, idziemy. Na szczęście mieszkała stosunkowo niedaleko i chociaż wysoko, to winda działała. Wjechałyśmy na górę, wystawiam jej siatkę z windy, a sama chcę się zabrać na dół – a ona, ach, żebym na chwilkę choć do niej weszła. Głupia byłam, że się złamałam, pomyślałam sobie, że skoro już i tak na nią tyle czasu straciłam, ta chwilka mnie nie zbawi. Chwilka!!! Już w mieszkaniu pani przypomniała sobie, że zapomniała wpaść do apteki i głośno się zastanawiała, że chyba do jutra bez tego lekarstwa przeżyje, bo dzisiaj już siły nie ma. I pyta się, co ja myślę, czy przeżyje?!

Gdyby myślami można było człowieka uśmiercić, ciężko by jej było przeżyć! Bo co miałam zrobić?! W pierwszej aptece odstałam w kolejce 30 minut i okazało się, że tego lekarstwa nie ma, w drugiej – już się przezornie zapytałam, trzecia apteka – była ze sto kilometrów od tej drugiej.

W sumie – całkiem niby niegroźny odruch z agrafką kosztował mnie ponad półtorej godziny czasu, reprymendę od mamy, że latam nie wiadomo gdzie i nieodrobioną matematykę, bo już całkiem nie miałam na to siły. Jak na jednego człowieka, to chyba zbyt dużo! O nie!

ANKA

KARUZELA pod Bałszyną

CIĄG DALSZY ZE STR. 3

Nazwa biegu była mu obca; biedak stał się obiektem żartów i szybko opuścił miejsce zawodów. Sporo kłopotów mieliśmy również z pewną rodziną, która błędnie interpretowała regulamin uczestnictwa i urządziła sobie... sztafetę. Uszczęśliwiony ze „zwycięstwa" tatko finiszował na ostatniej zmianie i ani rusz nie chciał opuścić najwyższego stopnia podium. Stałby na nim i całą noc; dostał dyplom i nagrodę – innego wyjścia nie było.

Trudne i trochę humorystyczne były początki. Wspominamy o nich czasami w gronie pierwszego, nieoficjalnego komitetu imprezy. Jerzy Błażewicz, Czesław Stawicki, Kazimierz Giemza i Sławomir Krassowski, działacze sportowi i nauczyciele dawnego powiatu ostrzeszowskiego mogliby opowiadać o nich bez końca. Z naszym crossem związany jest też Krzysztof Wielicki, ten sam, który niedawno zatknął polską flagę na najwyższym wierzchołku świata – Everešcie. On jutro przyniesionym z Palmir ogniem zapali znicz na koronie ostrzeszowskiego stadionu. Od najmłodszych lat związany był z tutejszymi wydarzeniami. Przecież urodził się i wychował w Szklarce Przygodzkiej, obecnie gmina Ostrzeszów. Mało kto wie, jest pan pierwszym dziennikarzem, któremu to opowiadam, że Krzysiek od małego losy swoje związał z harcerstwem. Był zuchem w szkole w Szklarce, a później członkiem 12 DH im. Tadeusza Kościuszki. Przez dwa lata pełnił funkcję drużynowego w szczepie „Watra", działającym przy ostrzeszowskim ogólniaku. On i jego druhowie pomagali nam przy zabezpieczeniu crossowych tras. Wychowanek harcmistrza PL Stanisława Stawskiego, który do dziś pracuje z ostrzeszowską młodzieżą, zaraził swoją pasją także studentów Politechniki Wrocławskiej, gdzie kontynuował naukę i harcerską robotę. Jako instruktor ZHP byłem na wielu obozach, obserwowałem Wielickiego niejednokrotnie. Do dziś jestem pod wrażeniem jego wewnętrznego zdyscyplinowania i samozaparcia...

Ale miałem mówić o ostrzeszowskim crossie. Jutro wystartuje po raz szesnasty. W obsadzie międzynarodowej. Tego przed laty nie przewidzieliśmy. Nie przewidzieliśmy również że tu, u stóp góry Bałszyny, rozpocznie swoją karierę medalista olimpijski Bronisław Malinowski, Jadwiga Saganowska – reprezentantka Polski w oszczepie, Anka Przygoda – mistrzyni kraju w tenisie stołowym, Antoni Manikowski – nasz czołowy maratończyk (dwa razy wygrał cross), Grzegorz Kaczmarek – jeden z najlepszych polskich płotkarzy... Nie bez przyczyny wymieniam te nazwiska. Jeszcze raz potwierdza się reguła, że zdobyty w przełajach hart procentuje później w każdej dziedzinie sportu.

Cross jest szczególnie trudnym biegiem. Pokonuje się przecież wszystkie naturalne przeszkody. I niesłusznie napisano kiedyś w jednej ze sportowych gazet, że nie dopełniliśmy podstawowych obowiązków, gdyż na trasie znajdowały się korzenie drzew, patyki, kamienie. Wydający taką opinię dziennikarz nie znał widocznie zasad crossowych biegów...

Tegoroczna impreza ma szczególnie uroczysty charakter. Stanowi jednocześnie centralną inaugurację Dni Olimpijczyka, co przyjęliśmy jako ogromne wyróżnienie. Z tej okazji odsłonięty zostanie w Ostrzeszowie pomnik patrona imprezy – Janusza Kusocińskiego. Spodziewamy się rekordowej liczby uczestników, którzy wystartują aż w 28 biegach. Nie boimy się dużej liczby finalistów. Doszliśmy już do takiej perfekcji, że całą imprezę przeprowadzamy w ciągu zaledwie dwóch godzin. Start następuje za startem, oczywiście każdy na inny odcinek trasy. Karuzela pod Bałszyną, tak nazwano nasze zawody, kręci się już bez zgrzytów. I nie ma w niej głównej nagrody. Jednakowo poważnie traktujemy udział maluchów, jak i biegi najlepszych seniorów, którzy mają swoją górską premię właśnie na szczycie mierzącej 270 m wysokości Bałszynie. Dodam jeszcze, że w eliminacjach, tylko naszego rejonu, wystąpiło ponad 40 tys. amatorów przełajów. I to chyba stanowi największy sukces ostrzeszowskiego crossu, na który zapraszamy wszystkich.

Spisał:
ZDZISŁAW PRZYBYŁOWSKI

DYREKCJA ZESPOŁU SZKÓŁ ZAWODOWYCH NR 1 W PIOTRKOWIE TRYBUNALSKIM

97-300 PIOTRKÓW TRYB., UL. ROOSEVELTA 1

ogłasza zapisy kandydatów do:

Zasadniczej Szkoły Przemysłu Szklarskiego w zawodzie produkcja szkła i wyrobów szklanych.

Do szkoły przyjmowani są tylko chłopcy w wieku od 15 do 17 lat, którzy ukończyli 8-klasową szkołę podstawową.

Przyjęcia do szkoły bez egzaminu wstępnego.

Szkoła posiada własny internat, w którym zapewnia miejsca młodzieży zamiejscowej.

Uczniowie otrzymują stypendia oraz następującą pomoc materialną:

a) wynagrodzenie miesięczne w wysokości
- w klasie I 600,– zł
- " II 800,– zł
- " III 1150,– zł

b) premie kwartalne do wysokości:
- w klasie I 360,– zł
- " II 480,– zł
- " III 690,– zł

c) nagrody kwartalne w wysokości 300 zł
d) bezpłatne zaopatrzenie w podręczniki i pomoce szkolne
e) codzienny posiłek regeneracyjny
f) zwrot kosztów przejazdu – raz w miesiącu z miejsca zakwaterowania do miejsca stałego zamieszkania
g) po ukończeniu szkoły i podjęciu pracy w hucie szkła absolwenci otrzymują 10 000 zł pożyczki bezzwrotnej.

Do podania należy dołączyć:
1. Życiorys
2. Wyciąg z dowodu osobistego rodziców.
3. Świadectwo lekarskie.
4. Świadectwo ukończenia szkoły podstawowej.

K-78

TECHNIKUM I ZASADNICZA SZKOŁA BUDOWLANA SZCZECIŃSKIEGO ZJEDNOCZENIA BUDOWNICTWA

72-600 Świnoujście, ul. Gdyńska 26, tel. 27-61 przyjmują w roku szkolnym 1980/81 uczniów do klas pierwszych.

Zasadnicza Szkoła Budowlana uczy następujących zawodów:
- monter wewnętrznych instalacji budowlanych – kierunek 2-letni dla chłopców 15-letnich i starszych
- malarz – kierunek 2-letni dla chłopców i dziewcząt 15-letnich i starszych
- elektromonter – kierunek 3-letni dla chłopców i dziewcząt 15-letnich i starszych
- murarz – kierunek 2-letni dla chłopców 15-letnich i starszych
- betoniarz-zbrojarz – kierunek 2-letni dla chłopców 15-letnich i starszych
- przysposabiająca do pracy w budownictwie – kierunek murarz dla chłopców 15-letnich i starszych po 6 klasie szkoły podstawowej

Technikum Budowlane dla Pracujących przyjmuje zapisy absolwentów Zasadniczych Szkół Budowlanych. Nauka w Technikum trwa 3 lata. Uczniom zamiejscowym szkoła gwarantuje miejsce w internacie. Warunkiem przyjęcia do ZSB jest złożenie podania, świadectwa ukończenia szkoły podstawowej, zaświadczenia lekarskiego o przydatności do obranego zawodu, zgody rodziców (opiekunów) oraz 4 fotografii.

Termin składania dokumentów upływa ostatecznie 31. VIII. 1980 r.

W czasie trwania nauki wszyscy uczniowie otrzymują:
- wynagrodzenie w zależności od wieku i klasy: w klasie I od 240 do 520 zł, w kl. II – od 480 do 2000 zł i do 20% premii kwartalnej oraz w kl. III – ok. 2000 zł i 20% premii kwartalnej.
- bezpłatne umundurowanie o wartości 2000 zł
- bezpłatne podręczniki
- codzienne bezpłatne posiłki regeneracyjne (drugie śniadania)
- legitymacje na 33% zniżkowe przejazdy koleją.

Ponadto uczniowie korzystają z funduszu nagród, funduszu mieszkaniowego i socjalnego.

Ukończenie ZSB gwarantuje dobrze płatną pracę w swoim przedsiębiorstwie. Najlepsi absolwenci mogą być kierowani na budowy zagraniczne.

K-24

ADRESY PORADNI WYCHOWAWCZO – ZAWODOWYCH

KRAKÓW

- Woj. Poradnia Wychowawczo-Zawodowa, 31-073 Kraków, Dietla 90, tel. 228-72
- Dzielnicowa Poradnia Wychowawczo-Zawodowa, 30-039 Kraków, Wybickiego 10, tel. 342-46
- Dzielnicowa Poradnia Wychowawczo-Zawodowa, 31-977 Kraków, Oś. Szkolne 27, tel. 418-85
- Dzielnicowa Poradnia Wychowawczo-Zawodowa, 30-508 Kraków, Przy Moście 1, tel. 614–65
- Dzielnicowa Poradnia Wychowawczo-Zawodowa, 31-509 Kraków, Modrzewskiego 19, tel. 145-97
- Miejska Poradnia Wychowawczo-Zawodowa, 32-560 Krzeszowice, Parkowa 14, tel. 2
- Miejska Poradnia Wychowawczo-Zawodowa, 32-400 Myślenice, Żeromskiego 2, tel. 205-89
- Miejska Poradnia Wychow-Zawodowa, 32-100 Proszowice, Kopernika, tel. 293
- Miejska Poradnia Wychowawczo-Zawodowa, 32-050 Skawina, Listopada 17, tel. 305
- Miejska Poradnia Wychowawczo-Zawodowa, 32-050 Wieliczka, Os. Sienkiewicza 20, tel. 104
- Gminna Poradnia Wychowawczo-Zawodowa, Zabierzów z siedzibą w Krakowie, Manifestu Lipcowego 29, tel. 227-12

LUBLIN

- Woj. Poradnia Wychow.-Zawod., I Armii WP 1, 20-078 Lublin, tel. 248–22
- Poradnia Wychowawczo-Zawodowa, Bychawska 4, 24-200 Bełżyce, tel. 778
- Poradnia Wychowawczo-Zawodowa, Szkolna 6, 23-100 Bychawa, tel. 232
- Poradnia Wychow.-Zawod., ul. Rycerska 7, 23-200 Kraśnik Lub., tel. 25-06
- Poradnia Wychow.-Zawod., 3-go Maja 16, 21-100 Lubartów, tel. 22-68
- Miejska Por. Wychow.-Zawod., Sławińskiego 3, 20-080 Lublin, tel. 268-76
- Miejska Por. Wychow.-Zawod., Długosza 6b, 20-054 Lublin, tel. 303-17
- Poradnia Wychow.-Zawod., Stary Rynek 42, 24-300 Opole Lub., tel. 367
- Poradnia Wychow.-Zawod., Izabelli 14, 24-100 Puławy, tel. 49-91
- Poradnia Wychow.-Zawod., 22 Lipca 11, 08-500 Ryki, tel. 640
- Poradnia Wychow.-Zawod., Kolejowa 10, 21-040 Świdnik, tel. 122-53

ŁOMŻA

- Woj. Poradnia Wychow.-Zawod., Świerczewskiego 10, 18-400 Łomża, tel. 34-72, w. 320
- Poradnia Wychow.-Zawod., Świerczewskiego 10, 18-400 Łomża, tel. 42-71 w. 320
- Poradnia Wychow.-Zawod., Wojska Polskiego 8, 18-500 Kolno, tel. 21-81
- Poradnia Wychow.-Zawod., Os. Broniewskiego 12a, 19-200 Grajewo, tel. 295
- Poradnia Wychow.-Zawod., Ludowa 15, 18-200 Wysokie Mazow., tel. 25-52
- Poradnia Wychow.-Zawod., W. Polskiego 16, 18-300 Zambrów, tel. 21-78

PIŁA

- Woj. Poradnia Wychow.-Zawod. w Pile z siedzibą w Trzciance, Fabryczna 1 64-900 Trzcianka, tel. 347;
- Poradnia Wychow.-Zawod., Krasińskiego 14, 64-800 Chodzież, tel. 20-521;
- Poradnia Wychow.-Zawod., Kościuszki 88, 64-700 Czarnków, tel. 23-06;
- Poradnia Wychow.-Zawod., Kilińszczaków 18, 78-610 Jastrowie, tel. 121;
- Poradnia Wychow.-Zawod., Bydgoska 21, 64-920 Piła, tel. 26-69;
- Poradnia Wychow.-Zawod., Wielkopolska 16, 64-610 Rogoźno, tel. 316;
- Poradnia Wychow.-Zawod., Sikorskiego 43, 64-900 Trzcianka, tel. 583;
- Poradnia Wychow.-Zawod., Robotnicza 23, 78-600 Wałcz, tel. 26-76;
- Poradnia Wychow.-Zawod., Krasińskiego 17, 62-100 Wągrowiec, tel. 20-065;
- Poradnia Wychow.-Zawod., Mickiewicza 9, 64-730, Wieleń, tel. 63;
- Poradnia Wychow.-Zawod., Bydgoska 34, 89-300 Wyrzysk, tel. 86-26-74;
- Poradnia Wychow.-Zawod., Al. Piasta 59, 77-400 Złotów, tel. 26-79.

Jeżeli mama o mało nie umarła na tyfus, to trudno się dziwić, że nie lubi wracać wspomnieniami do tamtych czasów. Róża by też nie lubiła. I zdaje się, że rozumie niechęć mamy do wspomnień. Są sprawy, o których nie można mówić z nikim, nawet z najbliższymi.

Czy ona sama umiałaby opowiedzieć komukolwiek o tym, co przeżyła dzisiejszego wieczoru? Jeżeli opowie: „Jedna pani dostała ataku serca", nie przekaże niczego, żadnej prawdy, słowa miałkie jak garść trocin, zdanie jak każde inne. Gdyby chciała opowiedzieć rzeczywiście, musiałaby zacząć mówić o sobie, a bardzo trudno jest mówić o sobie tak naprawdę, dużo łatwiej pleść o nieważnych głupstwach. Czy w ogóle można opowiedzieć, co się czuje, co się przeżywa?

Nie można. Można. To chyba zależy od tego, czy ten, komu opowiadamy, nas rozumie; ale jak ma zrozumieć do końca, skoro jest inny, bo nie jest taki sam. Może i na dzisiejsze wydarzenia ktoś by machnął po prostu ręką. Wielka rzecz, że ta pani zachorowała, starsze osoby często dostają ataków. A to, że mama w czasie wojny chorowała na tyfus? Co z tego? Chorowała, ale wyzdrowiała i w porządku, nie ma o czym myśleć.

Dobrze byłoby się położyć i zasnąć, tylko jak spać, kiedy nieproszone myśli po prostu rozsadzają głowę? Najlepiej, żeby już było jutro, żeby zgasł księżyc, rozjaśniło się niebo, srebrne, nocne liście przybrały zwyczajną zieleń, wzeszło słońce. Kiedy wstanie dzień, Róży będzie łatwiej dojść do ładu z własnymi myślami. W ptasim świergocie, dalekim warczeniu samochodów, gwarze głosów wszystko wydaje się inne niż w tej wielkiej ciszy.

– Śpi?

– Śpi.

– Mógłby się pan położyć. Po co sobie marnować zdrowie?

– Natalia także mogłaby się położyć i nie marnować sobie zdrowia. Ja posiedzę. I tak bym nie usnął.

– Niby, że ja bym usnęła? Chyba pan żartuje!

– Ale herbata by się przydała. Taka, wie Natalia, świeżo naparzona.

– Zaraz nastawię czajnik.

Teraz mówią przyciszonymi głosami, ale nie szeptem.

Szurające człapanie – to Natalia odchodzi nastawić ten czajnik, nim całkiem odejdzie, pyta:

– Czemu to doktor o Basi tej małej opowiadał? Miało być nic nie mówione.

– Zapomniałem powiedzieć, że Basia o to prosiła – martwi się głos pana z wąsami. – Zupełnie mi wyleciało z głowy.

– Bardzo się przejęła ta mała, jakby pierwszy raz słyszała o tym. Bledziutka się taka zrobiła, że żal serce ściskał.

– Trudno – nikt nie cofnie tego, co się stało.

– Ano, nie cofnie.

W ciszy słychać mruczenie czajnika, tuk, tuk, tuk, podskakuje pokrywka na gotującej się wodzie. Może gdyby nie to delikatne postukiwanie, Róża mogłaby usłyszeć także tamten bolesny, zamierający oddech, bo słyszy szelest, gdy w gnieździe poprawia się senny ptak i gdy liść spada przez nieruchome srebro tej nocy.

Pamięta, jak szła do tego domu, ciągnąc za sobą torbę, już na zapas zbuntowana i niechętna, gotowa stanąć okoniem, zjeżyć się wobec obcych ludzi, którzy zepsuli jej wakacje. Wyobrażała sobie koszmarne rozmowy, dygania, zakazy i pouczenia, widziała siebie z namotaną na dłoniach włóczką, którą jakaś surowa dama zwija na wielki kłębek – ale nie potrafiła sobie wyobrazić tego, co ją czekało tutaj. I tego radosnego, i tego, co było niepojęte, ciężkie jak ładunek włożony na zbyt wątłe barki. Znowu człapanie na dole, pewno Natalia niesie filiżankę z herbatą.

– A wydawała się dużo spokojniejsza. Tak rozsądnie rozmawiała i rano, i przy obiedzie. Wydawało się, że nareszcie wyszła z tego koszmaru.

To, co mówi pan z wąsami, brzmi jak skarga kogoś, kto nie może się pogodzić z nieszczęściem, jakie na niego spadło.

– Ale pytała o pana Andrzeja, o swojej porze pytała. A wczoraj to sobie dopiero przypomniała głuchą nocą, że trzeba zapytać. Zaraz sobie pomyślałam; to zły znak.

– Tyle lat, Natalio, tyle lat. Ciągle się męczy, ciągle przeżywa na nowo.

– No, to już było ostatnie lekarstwo. Więcej nie wymyślimy.

– Trzeba by tę małą odesłać do domu. Nie można jej narażać na wstrząsy psychiczne. Ona się pewno zamartwia, że to przez nią ten atak.

– Może i przez nią. Pani się tak o nią trzęsła, jak o Basię.

– Tłumaczyłem, że to nie ona. Zrozumiała, wiem, że dobrze zrozumiała.

Potem odchodzą w głąb mieszkania i jest tylko cisza, i księżyc wędrujący nad czubami starych drzew.

Cdn.

Każdy znajdzie tu coś dla siebie. Zadanie o wieku maga Hassana i jego wnuka zadowoli – mam nadzieję – najwytrawniejszych nawet abrakadabrystów.

Polecam również zadanie z dziedziny „żeglugi kanałowej". Po Abrakadabrze radzę wybrać się na dłuższy spacer – jest wiosna!

BEN AKIBA, gospodarz Abrakadabry

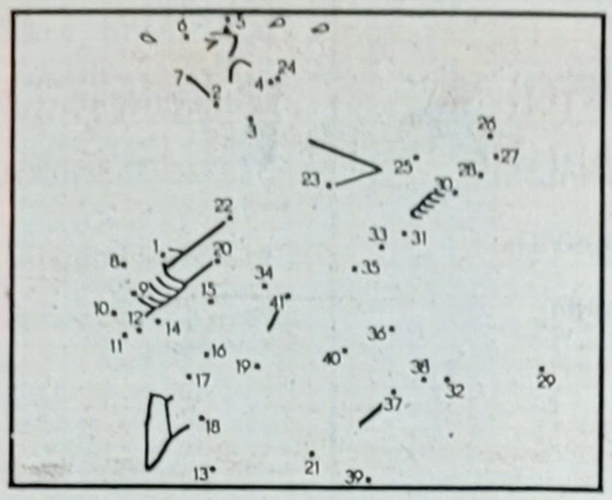

41 PUNKTÓW

Prawdziwi doświadczeni abrakadabryści rozwiązują takie zadania dopiero „na deser", po rozwiązaniu wszystkich pozostałych zadań.

Wystarczy połączyć linią kolejne punkty od 1 do 41. To lżejsza praca, niż to, co zobaczysz na obrazku.

DZIAD I WNUK

Jeden z wnuków mojego przyjaciela – maga Hassana – powiedział mi następujące zadanie, wzięte z własnego życia: „To było w roku 1932. Miałem wtedy równo tyle lat, ile wskazują dwie ostatnie cyfry roku mego urodzenia. Kiedy opowiedziałem o tym memu dziadkowi, magowi Hassanowi, zadziwił mnie oświadczeniem, że i z jego wiekiem zachodzi taka sama zależność. Początkowo wydawało mi się to niemożliwe, ale mój dziad udowodnił mi, że to prawda. Ile lat miał wtedy każdy z nas?"

ŚWIAT MŁODYCH

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561-Warszawa.
ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33, telex 0315569).
UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY.
REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (zastępca red. nacz.), Jerzy Dąbrowski, Anna Grzybowiecka, Maria Jaworska (sekretarz redakcji), Jerzy Kowalkowski, JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Wiesława Mroczek-Kamińska, Krzysztof Potrzebnicki, Ryszard Ratajczyk, Marian Twaróg, Barbara Tylicka, Marzena Wierzcholska (zastępca red. nacz.).

TELEFONY:
Red. naczelny 21-15-61
Sekr. redakcji 28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami 21-81-13
TELEX 81-36-58

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca. WYDAWCA – RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A. Telefony: Dyrektor 28-09-73, Dział Wydawniczy 29-35-52. Prenumerata krajowa: miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół, w miejscowościach, gdzie nie ma delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo-telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.
Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV O/Warszawa Nr 1153-201045-139-11
Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

Opracowanie graficzne
Szarlota Pawel

Opracowanie techniczne
Anna Dąbrowska

DRUK: Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego

Nr zam. 1761/G 0-66

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

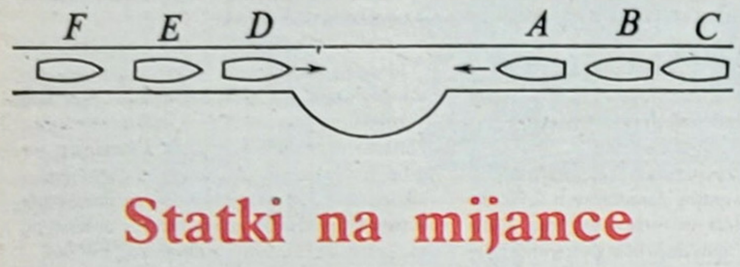

Statki na mijance

W kanale płyną jeden za drugim statki A, B i C. Naprzeciw nim płyną też tym samym kanałem statki D, E i F. Kanał jest wąski i dwa statki mogą się w nim minąć jedynie w szerokim miejscu – specjalnej mijance – pokazanej na rysunku. Czy te statki mogą się tak wyminąć – używając mijanki – aby mogły płynąć dalej w zaplanowanym kierunku i porządku? Spróbuj przeprowadzić taką operację!

ODPOWIEDZI Z POPRZEDNIEJ SOBOTY:

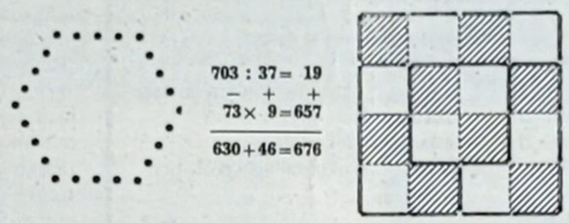

703 : 37 = 19
– + +
73 × 9 = 657
630 + 46 = 676

TAJEMNICZE DZIAŁANIA, ZADANIE Z „ROZMAITOŚCI", ZADANIE DLA PRZYBOCZNYCH rozwiązania obok. **PANI KOWALSKA KUPUJE MISIA:** kupiony miś to ten, który na górnym obrazku siedział pierwszy od lewej na lewej półce środkowej.

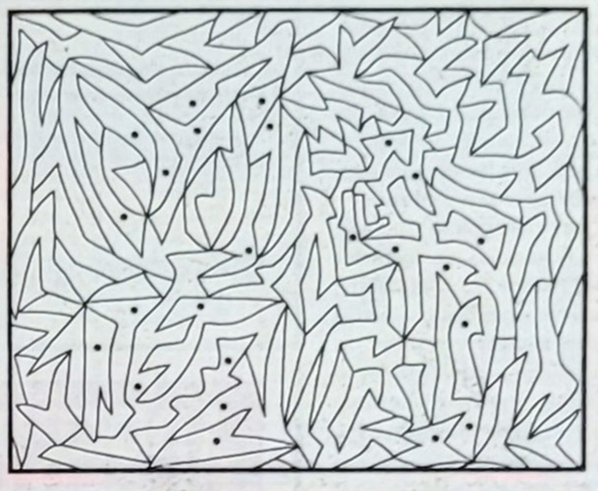

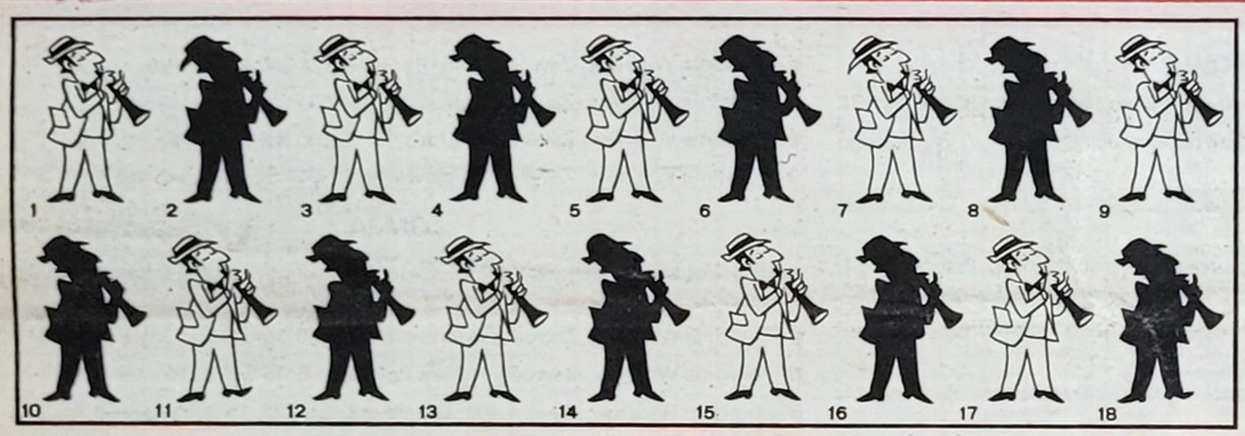

Połącz figury i cienie!

Zdradzę ci od razu, że jedna figura nie ma cienia i jeden cień nie ma figury. Poza tym w 5 minut uporasz się z zadaniem dopasowania odpowiednich cieni do figur. Powodzenia!

TEATR CIENI ABRAKADABRY

Popatrz na ten rysunek i staraj się wyodrębnić wzrokiem te części, które oznaczono kropkami. Czy składają ci się one w jakąś całość – wizję? Następnie weź ołówek lub mazak i zamaluj dokładnie te zakropkowane miejsca. Oto rozwiązanie. Tę łamigłówkę nazwaliśmy właśnie teatrem cieni Abrakadabry.

Zadanie premiowane nr 278

Szyfrogram

●	1	2	3	4	5	6	7	8
9	10	11	12	13	14	15	16	17
18	19	20	21	22	23	24	25	26
27	28	29	30	31	32	33	34	35
36	37	38	39	40	41	42	43	44
45	46	47	48	49	50	51	52	53
54	55	56	57	58	59	60	61	●

Odgadnij 11 wyrazów o podanych znaczeniach, zastąp liczby literami, a te z kolei przenieś do diagramu i rzędami poziomymi odczytaj rozwiązanie. Napisz je na kartce pocztowej i prześlij w ciągu 7 dni od daty tego numeru pod adresem: „Świat Młodych", Mokotowska 24, 00-561 Warszawa, „Zadanie premiowane nr 278".

Prawidłowe rozwiązania wezmą udział w losowaniu nagród. ZNACZENIE WYRAZÓW:

1) w piosence: ona ci wszystko wybaczy = 6 – 43 – 56 – 57 – 26 – 49 –, 2) skórzany pasek = 45 – 55 – 3 – 40 – 14 – 21 – 8 –, 3) psikus, psota = 42 – 32 – 15 – 59 – 33 – 34 –, 4) „... 303" Arkadego Fiedlera = 16 – 17 – 58 – 2 – 12 – 13 – 53 – 1 –, 5) strój, ubranie, okrycie = 5 – 36 – 23 – 38 – 30 – 20 –, 6) sprzyjająca okoliczność, sposobność = 25 – 61 – 11 – 37 – 50 – 44 –, 7) żądają go porywacze = 9 – 52 – 35 – 4 –, 8) postać = 19 – 22 – 46 – 31 – 48 –, 9) gruszki, jabłka, śliwki = 39 – 47 – 41 – 54 – 60 –, 10) duża miska = 18 – 7 – 28 – 51 –, 11) lichy, bezwartościowy obraz = 10 – 29 – 24 – 27 –.

ROZWIĄZANIE ZADANIA PREMIOWANEGO NR 274 Z 26 NUMERU „ŚWIATA MŁODYCH" Z DNIA 1.03.1980 R.

Prawidłowe rozwiązanie: W marcu jak w garncu (rumianek, muchomor, harmonia, harmider, regiment, kremówka, Karolina, szczenię, czwartek, strażnik, skupisko, indukcja).

Nagrody wylosowali:
Zygmunt Budziński – Niemodlin, Krystyna Dubanik – Wierzbna, Andrzej Górski – Warszawa, Wojciech Krasnodębski – Mordy, Elżbieta Laba – Prudnik, Beata Naczyńska – Zabrze, Jarosław Stolarczyk – Słupia Nowa, Paweł Warchałowski – Kazimierza Wielka, Lidia Wąsowicz – Pstrowice, Renata Włoch – Gorlice.

DZIEŃ, NOC I PORA NICZYJA

EWA NOWACKA

16

Basia, bezsilna dłoń na kołdrze, warkocze, rwące się tchnienie, tyfus, ramki z fotografiami, tyle tych fotografii. Marek, to ważenie się przed skokiem, uniesiony na palcach, ptak przed lotem, woda zamykająca się bezgłośnie nad skaczącym, czyraki, Basia w czyrakach, strach, że zapanuje cisza, że nie zaszemrze już oddech.

– Dziecko, idź spać. Nic nam nie pomożesz.

Na niebie jest księżyc mżący zimnym blaskiem, rozsrebrzone liście drzew, ogród zastygły w milczeniu, bezszelestnie w uśpionym niebie krąży jakiś nocny ptak albo nietoperz, ku górze wzlatuje puchata ćma.

Noc jest piękna, piękna dziwną, prawie śnioną pięknością, w srebrze i w ciszy, zatrzymaniu szelestu liści w nieprzespanym śnie, w nieruchomej czerni konarów, niedosłyszalnym locie ćmy. Jest piękna, bo zapatrzona Róża po raz pierwszy wie, że można nie być, nigdy nie oprzeć pleców o twardość okiennej framugi, nie podnieść twarzy ku białemu sierpowi przecinającemu mrok.

Zawsze myślała, że tamta granica znajduje się o setki mil, o tysiące lat, dzisiaj dowiedziała się, że może być blisko, nie dalej niż wyciągnięcie ręki, nie dalej niż króciutka przerwa między jednym oddechem, a drugim.

I pomyśleć, że mama także omal nie umarła. To niepojęte, lecz gdyby tak się stało. Ona, Róża, nie siedziałaby teraz pod białym blaskiem księżyca. Po prostu nie byłoby Róży.

Setki, tysiące, miliony ludzi, chodzą, pracują, jedzą, śmieją się, podlewają kwiaty, kasują bilety, stoją w ogonkach do sklepowych lad, uczą się w szkole i nie ma między nimi Róży. Mogłoby nie być.

– Co ci przychodzi do głowy? Ja w partyzantce? – oburzyła się kiedyś mama spytana o wojenne przeżycia. – Miałam niespełna osiem lat, kiedy się zaczęło, niepełne trzynaście, kiedy się kończyło. Byłam za mała, żeby coś robić, i za duża, żeby się nie bać. I proszę, skończymy z tym tematem.

Mama nigdy nie opowiadała, co przeżyła, już prędzej ojciec był skłonny do wspominania. Róża pamięta długą opowieść o gotowaniu mydła, to zastygnięte mydło krajało się na kawałki i babcia sprzedawała je chodząc po domach. Róży wydawał się śmieszny obraz ojca mieszającego kopyścią w garze i obraz babci zachęcającej do kupowania kwadratowych, brunatnych kostek. Tak jak zabawna była historia o torcie z fasoli. Nocą do tego tortu zakradła się mała Helena, siostra ojca, i pożarła prawie cały. To wspomnienie wracało zwykle w imieninowym gwarze, ciotka czerwieniła się z zażenowania, kiedy zachęcano ją, by powtórzyła swój wyczyn sprzed lat.

Kiedy w telewizji wyświetlano seriale o wojnie, mama zamykała się w kuchni. Nie dawała się namówić na żaden wojenny film, chociażby wojna toczyła się sto lat temu na drugim końcu świata. Mama lubiła komedie, kreskówki i operetki, nieufnie odnosiła się do filmów kryminalnych i gangsterskich, wystarczała jej pierwsza wymiana strzałów, żeby zniknąć w kuchennym ukryciu.

– Was to bawi, mnie nie – odpowiadała zawsze na prześmiechy, Andrzej szczególnie miał mamie za złe jej obawę przed rewolwerową palbą. – Ja wam nie zabraniam oglądać, pozwólcie i mnie postępować, jak mi się podoba.

Dokończenie na str. 7